Zet — sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK II NR 20 WARSZAWA, DNIA 15 STYCZNIA 1933 R. CENA 50 GR.

Człowiek przez duże C...

Niejednokrotnie stawiano nam zarzut, że posługujemy się ogólnikami. Wiemy, że powodem tego zarzutu jest niezdolność człowieka współczesnego do myślenia kategorjami powszechnemi i do syntezy. Rzekome ogólniki były już przez nas niejednokrotnie — i to bardzo wyraźnie precyzowane.

Najbardziej uporczywe pytanie brzmi: „Co rozumiecie przez „nowy typ Człowieka? Co ma oznaczać Człowiek przez duże C...?"

Odpowiadamy na to, co następuje:

Pojęcie *nowego człowieka* nie jest bynajmniej dla nas czemś nieokreślonem. Pisaliśmy już, że podług nas, człowiek dotychczasowy był dopiero szkicem, problematem człowieka, stworzonym przez Boga w stanie niejako embrjonalnym. Ta zaledwie zapoczątkowana istota obdarzona została *rozumem*, czyli władzą, dzięki której człowiek może dokonać *stworzenia własnego*. Dotychczasowy proces rozwoju dziejowego tej istoty był deterministyczny t. zn. przyroda (czy też Opatrzność) prowadziła ją za rękę, poddając jej cele i dążności, wynikające z samej natury *fizycznej* człowieka. Ale epoka obecna jest momentem przełomowym. Człowiek wyemancypował się z pod opieki przyrody i uświadomił sobie konieczność wyzwolenia się z warunków fizycznego bytu. Rozum jego dojrzał już do założenia sobie problematu przejścia od bytu uwarunkowanego, względnego — do bytu absolutnego. Odtąd człowiek jest pozostawiony samemu sobie, co oznacza całkowity indeterminizm dalszych dziejów. Oto przyczyna chaosu i rozstroju, jaki cechować będzie epokę współczesną, dopóki ludzkość nie opanuje jej ślepych żywiołów twórczym rozumem.

Spróbujmy określić w przybliżeniu typ tego nowego człowieka, dźwigającego się z odmętów dnia dzisiejszego, ponad stary świat „skłócony żywiołów waśnią"...

I. Nowy Człowiek patrzy na dzieje ludzkości, jako na proces celowy, służący do wytworzenia się na naszym globie *istot rozumnych*, t. j. takich, które własnym wysiłkiem wydobywają się ze stanu zwierzęcego, zakładając w miejsce ładu fizycznego — *ład moralny;* stwarzają one w ten sposób nową dziedzinę rzeczywistości, przedtem nieistniejącą w świecie, a mianowicie moralność, której założenie jest posłannictwem człowieka na ziemi.

II. Nowy Człowiek wie, że najwyższym atrybutem tych istot jest Rozum, który odróżnia je od całego świata stworzonego, będącego zbiorem rzeczy i procesów mechanicznych, warunkujących się wzajemnie i pozbawionych świadomości swej *racji bytu*. Tylko Stwórca zna rację bytu siebie samego i świata stworzonego. Ponieważ rozum ludzki ma w sobie postulat tej racji bytu i dąży niepowstrzymanie do jej przeniknięcia i wytworzenia — człowiek jest jedyną istotą uczestniczącą in spe w rzeczywistości Bożej.

III. Nowy Człowiek pojmuje rozum, jako siłę, która określa to *co jest*, a wytwarza to *co być powinno;* w ten sposób odróżnia czynność spekulatywną i czynność praktyczną rozumu. Celem czynności spekulatywnej rozumu jest Prawda, poszukiwana przez poznanie, zaś celem jego czynności praktycznej jest Dobro, osiągane przez działanie. Nowy Człowiek dąży śmiało do rozwiązania tych dwu najwyższych problematów rozumu, uznając za jedyny pozytywny cel swego życia: wiedzę absolutną (poznanie istoty rzeczywistości) i byt absolutny (nieśmiertelność duszy).

IV. Nowy Człowiek widzi istotę swego Ja (= Rozumu) nie w intelekcie, gdzie powstają pojęcia, i nie w zmysłach, gdzie powstają oglądy i odczucia bezpośrednie — lecz w *samorzutności stwórczej*, czyli w akcie pytania o rację bytu wszelkich zjawisk. Dlatego nie popada on ani w idealizm, gdzie istotą świata stają się czyste, abstrakcyjne pojęcia umysłowe, ani w materjalizm, gdzie stanowią świat konkretne, namacalne oglądy zmysłowe (a więc ani świat myśli, ani świat rzeczy) — lecz *świat czynów twórczych*, których źródłem jest wolna, niewarunkowa Osobowość, mająca podstawę swego bytu w samej sobie.

V. Nowy Człowiek przekracza tedy Myślą i Wolą świat stworzony, stając się uczestnikiem *świata stwórczego*, którego ośrodkiem jest Bóg, obwodem Ludzkość, a symbolem najdoskonalszym: Bóg - Człowiek. Dlatego Nowy Człowiek rozwija w sobie przedewszystkiem trzy naczelne funkcje twórcze rozumu: filozofję (tworzenie Prawdy), religję (tworzenie Dobra) i sztukę (tworzenie Piękna).

VI. Nowy Człowiek uważa za ideał Postępu przejście ludzkości od celów fizycznych ku celom duchowym, a nie odwrotnie, jak to sugerowały Europie nowożytne doktryny rewolucyjne, cofające człowieka wstecz, ku doskonale zorganizowanemu życiu stadnemu zwierząt. Dlatego walczy on o wyzwolenie z warunków fizycznych, a za jedyny sposób tego wyzwolenia uważa rozwinięcie w sobie twórczej potęgi rozumu.

VII. Nowy Człowiek widzi, że chorobą i słabością świata współczesnego jest względność wszelkich prawd i kryterjów, zarówno w dziedzinie religijnej i naukowej, jak gospodarczej i politycznej. Dlatego stawia on postulat jednej prawdy dla wszystkich, lecz takiej, na którąby się wszyscy mogli zgodzić. Chaos współczesny wynikł z braku jakiegokolwiek *powszechnego celu i powszechnego autorytetu;* powstanie ich zaś uwarunkowane jest powszechnem uznaniem jednej prawdy: Prawdy Absolutnej. Prawda ta to *nieskończona rzeczywistość stwórczego Rozumu*, mająca swój warunek w samej sobie i łącząca w sobie wiedzę najwyższą z bytem najwyższym. Treścią tej rzeczywistości jest Bóg, a więc niema rzeczywistości bez Boga: ale formą jej jest Człowiek, a więc niema też rzeczywistości bez Człowieka. Prawdziwa rzeczywistość wszechświata to Bóg-Człowiek.

VIII. Nowy Człowiek wyprowadza z tej prawdy absolutnej powszechny cel dla ludzkości: *stworzenie się własne człowieka* zapomocą samorzutności rozumu. Nowy ten cel kładzie on w miejsce dotychczasowych celów potęgi militarnej i dobrobytu gospodarczego, które dotąd były wyłącznemi ideami przewodniemi epoki nowożytnej. W ten sposób *człowiek twórczy* staje się ideałem dziejów na długie stulecia.

IX. Nowy Człowiek widzi możliwość autorytetu powszechnego tylko w *nowem zrzeszeniu moralnem*, a mianowicie w Unji Rozumu, jednoczącej wszystkich ludzi, rozumiejących potrzebę dążenia ku wyżej określonemu celowi powszechnemu ludzkości. Unja taka (jawna, a nie tajna!) i działająca wyłącznie środkami umysłowemi, przez naukę i sztukę, uzupełniłaby dwa dotychczasowe zrzeszenia: Państwo, czuwające nad porządkiem prawnym i Kościół, czuwający nad zasadami etycznemi ludzi.

X. Nowy Człowiek widzi w Unji Rozumu idealny czynnik pośredniczący między nauką świecką a religją, między prawem ludzkiem a prawem Bożem, między państwem a kościołem, między prawicą a lewicą, między rządem a parlamentem, między kapitałem i pracą, oraz między celami doczesnemi a celami wiecznemi ludzkości. Widzi w niej symbol ładu, celowości i harmonji, przywracający zwichniętą równowagę moralną i fizyczną świata, oraz wyrównujący wszystkie sprzeczności, przez utożsamienie ich na wyższej płaszczyźnie twórczego rozumu.

XI. Nowy Człowiek wie, że nie może być sprzeczności między filozofją a religją, gdyż istota rzeczy jest jedna i ta sama — i tylko nasz stosunek do niej może być dwojaki: w filozofji dążymy do niej jako do Prawdy, chcąc ją poznać, zaś w religji dążymy do niej jako do Dobra, chcąc ją zdziałać. Droga spekulatywna i droga praktyczna nie przeczą sobie, lecz się idealnie uzupełniają.

XII. Nowy Człowiek wie, że nie może być sprzeczności między Państwem a Kościołem, ponieważ Kościół jest czynnikiem ustawodawczym, a Państwo czynnikiem wykonawczym w dziedzinie *ładu moralnego*. Kościół nie ma żadnych sankcyj przymusowych w swem organizowaniu moralności publicznej; dlatego ład moralny nie może się obyć bez Państwa, które stosuje przymus wobec nieetycznych czynów zewnętrznych. Ale Państwo nie ma żadnych sankcyj duchowych w stosunku do motywów wewnętrznych, będących źródłem postępowania ludzkiego; dlatego ład moralny nie może się obejść bez Kościoła, który wpaja ludziom wysokie zasady etyczne, rozwijając w nich samorzutną, bezinteresowną miłość bliźniego i miłość Boga.

XIII. Nowy Człowiek wie, że sprzeczność między stronnictwami postępowemi i zachowawczemi polega na przejściowem nieporozumieniu, gdyż celem ostatecznym lewicy jest Prawda i *niezależność rozumu*, zaś celem ostatecznym prawicy Dobro i *nieśmiertelność ducha*. Gdyby doktrynerzy lewicy wiedzieli, że przecząc istnieniu Boga i nieśmiertelności ducha negują tem samem Prawdę i niezależność rozumu — gdyby myśliciele prawicy wiedzieli, że występując przeciw niezależności rozumu negują nieśmiertelność ducha — sprzeczność pomiędzy nimi ustałaby sama przez się. Lewica dążąca do Królestwa Rozumu czyni to samo, co prawica, dążąca do Królestwa Boga na ziemi.

XIV. Nowy Człowiek wie, że powodem tego tragicznego nieporozumienia jest rozszczepienie ludzkości starego świata na dwa typy umysłowe: 1) typ z przewagą uczucia (prawica) — i 2) typ z przewagą poznania (lewica). Ale uczucie i poznanie, to tylko dwie niższe władze rozumu. Z chwilą, gdy świadomość ludzka dźwiga się wyżej, przekonuje się, że w samym rozumie twórczym obydwie te władze są całkowicie utożsamione. Jedynym więc środkiem usunięcia antynomji społecznej, powodującej tak straszny rozlew krwi przez wieki — jest rozwój w nas rozumu twórczego.

XV. Nowy Człowiek wie, że rozwój rozumu twórczego może nastąpić tylko przez świadomy wysiłek myśli i woli, czyli przez czynną uprawę w sobie samym tych funkcyj rozumu, które uniezależniają człowieka od warunków fizycznych i dają jego istnieniu *celowość własną*. Tę celowość własną winien on mianowicie rozwijać spekulatywnie przez filozofję, praktycznie przez religję i estetycznie przez sztukę. W filozofji rozwija on ją, szukając w *samej istocie rozumu:* niewarunkowej zasady wszelkiej rzeczywistości mającej rację bytu w samej sobie. W religji rozwija ją, pełniąc prawo moralne nie jako nakaz i nawet nie dla nagrody Bożej — lecz uznając je za *cel sam w sobie* i czyniąc się w ten sposób wolnym współtwórcą ładu moralnego, realizatorem planu Boga. W sztuce wreszcie rozwija ją wprost jako czystą wynalazczość estetyczną *dającą kształt ideom twórczym samorzutnego rozumu* i zbliżająca człowieka do Boga przez bezinteresowną uprawę aktu stwórczego.

XVI. Nowy Człowiek uważa ideje i zasady powyższe za podstawę do wielkiej reformy wychowania, wysuwającej na plan pierwszy problemat teleologji pedagogicznej. Widzi on nierozerwalną łączność celu najwyższego wychowania z celem najwyższym ludzkości, określonym jako *stworzenie się własne człowieka*. Nowa szkoła wychować winna — w jego mniemaniu — człowieka uświadomionego dziejowo, rozumiejącego, że życie ludzkości jest *obowiązkiem zbiorowym* i odpowiedzialnego za dalszy bieg historji.

XVII. Nowy Człowiek widzi naglącą konieczność uświadomienia umysłom współczesnym olbrzymiej wagi obecnego przełomowego momentu dziejów. Tylko twórczy rozum może opanować ślepe żywioły chaosu, destrukcji i anarchji moralnej. Ale do walki tej stanąć muszą umysły syntetyczne, zdolne ogarnąć całokształt niezliczonych procesów i zjawisk życia społecznego. Aby wychować takie umysły, trzeba wprzód zerwać z analitycznym systemem myślenia, z atomizacją wiedzy, z rozbiciem rzeczywistości na mnóstwo niepowiązanych części, w których niezmiernem zróżniczkowaniu gubi się myśl człowieka współczesnego.

XVIII. Nowy Człowiek wie, że przyczyną chaosu i rozstroju, źródłem krzywd społecznych jest sam człowiek. Dlatego rozumie on, że naprawę ładu moralnego i fizycznego świata trzeba zacząć od człowieka, a nie od urządzeń publicznych. Mechaniczne ustawy, instytucje i ukazy nic nie pomogą, dopóki twórca ich, człowiek, nie przeistoczy się wewnętrznie, aż do rdzenia. Stary człowiek rozsadzi i na zło obróci najidealniejsze formy ustrojowe, o ile dusza jego nie zostanie uleczona. Natomiast Człowiek nowy, siłą swej inteligencji twórczej, sam dźwignie bez trudu gmach najdoskonalszych urządzeń społecznych.

XIX. Nowy Człowiek staje ponad t. zw. walką świata pracy i świata kapitału, której źródłem jest obłędna teorja nienawiści klasowej, przeciwstawiona cynicznie chrześcijańskiej doktrynie miłości bliźniego. Wie on, że walka ta polega na strasznem pomieszaniu pojęć, wynikłem *z nieodróżnienia ładu fizycznego od ładu moralnego świata*. Życie gospodarcze ludzkości należy do ładu fizycznego i stanowi mechanizm automatycznie regulowany i znajdujący się w równowadze doskonałej, o ile nie burzy tej równowagi sam człowiek przez wojny, rewolucje socjalne i fałszywe doktryny ekonomiczne, przewracające do góry nogami żelazne prawa tego ładu. Panuje w niem *konieczność*. Natomiast życie polityczne ludzkości jest wolnym wytworem rozumu i może być reformowane pod kątem coraz doskonalszego ładu moralnego na ziemi. Panuje w niem *wolność*. Dlatego nie wolno urządzać ładu moralnego pod kątem potrzeb życia gospodarczego, pod grozą zanarchizowania i zniszczenia całej ludzkości. Podobnie nie wolno dla celów politycznych zmieniać dowolnie koniecznych praw ekonomji społecznej, bo prowadzi to do równie tragicznej katastrofy.

XX. Nowy Człowiek szanuje pracę, wie jednakowoż, że miarą wartości człowieka jest nie praca, lecz *czyn twórczy*. Windowanie pracy na piedestał dziejów, ogłaszanie jej za cel sam w sobie, jest równie groźnem nieporozumieniem, jak mieszanie ładu moralnego z ładem fizycznym świata. Praca jest czynnością *warunkową* człowieka, a więc zawsze środkiem a nie celem dziejów. Celem tym może być tylko sam człowiek, albo raczej stworzenie się własne człowieka, dokonane przez czynność *niewarunkową* twórczego rozumu. Pracować mogą również maszyny i zwierzęta, nietylko ludzie: potencjalność czynów twórczych posiada jedynie Człowiek. Pracę można wkładać zarówno w niszczenie, jak w budowanie; natomiast czyn twórczy jest synonimem aktu konstrukcyjnego, tworzenia wartości dodatnich, a nie ujemnych; jest więc dobry sam przez się i stanowi miarę absolutną wartości człowieka.

XXI. Nowy Człowiek uznaje konieczność reformy ustroju państw i reformy ustroju politycznego całej ludzkości, wie jednak, że reforma taka będzie fikcją, dopóki nie oprze się na fundamencie powszechnego celu i powszechnego autorytetu moralnego. W braku takiego celu górują dziś interesy indywidualne państw, narodów i stronnictw. I w braku autorytetu panuje nieufność wszystkich przeciw wszystkim, prowadząca do nowej rzezi, choć ludy wiedzą, że wojna będzie katastrofą zarówno dla zwycięzców, jak dla zwyciężonych. Dopiero zastąpienie idej potęgi militarnej i dobrobytu gospodarczego przez ideę człowieka twórczego, jako celu najwyższego dziejów, odwrócić może na zawsze groźbę wojny i rewolucji społecznej. Dopiero stworzenie Unji Rozumu, jako widomego symbolu opinji publicznej całej ludzkości, dać może światu współczesnemu autorytet powszechny. I tylko na takim autorytecie oprzeć można reformę ustroju wewnętrznego państw, przez ustanowienie *rządów antynomjalnych*, równoważących wszystkie sprzeczności życia politycznego narodów, oraz reformę ustroju całej ludzkości, przez nową, czysto rozumową organizację Unji Państw, w miejsce dotychczasowej, nieudolnej Ligi Narodów.

Aktualność Wesela

(Z „Listów na Babilon“)

Nazywają Wesele arcydziełem. Znieważają uznaniem. Arcydziełem Wesele w wyższym stopniu nie jest — od reszty. Ale najbezpośredniej ujmuje dzień dzisiejszy. I przystępując do „słowiańskiego teatru przyszłości“ trzeba jeszcze będzie czas pewien zaczynać od niego. Nie od tego oczywista czem było. To zostawić można historykom literatury. Choćby nas los rozniósł po całym globie, zastanawiać się jeszcze będą nad tem, czem właściwie mógł być ten dramat, gdyśmy go po raz pierwszy ujrzeli.

Czem przed wojną było Wesele, o tem istnieje dobra, uczciwa książka. Poza fałszywą interpretacją Wernyhory i pewną chwiejnością w interpretacji Chochoła, o którym pierwsza przynosi prawdę, książka p. Stanisława Kotowicza zachowuje naogół wartość. Daje sumienną analizę utworu i na dwa lata przed wojną jasno formułuje najważniejsze z jego ówczesnych ostrzeżeń: ostrzeżenie przed kapitulacją inteligencji wobec chłopa, zdrowego rozsądku wobec romantycznego tumanu. Kto chce widzieć przez jakie coraz bardziej obłąkańcze fazy przechodzi po wojnie interpretacja Wesela, niech przejrzy „Symbolikę Wesela“ prof. Cywińskiego, który całkiem na serjo zestawia te „sądy“ i szczytowem je wieńczy odkryciem prof. Pigonia: Figlarny Archanioł, albo jak Chochoł róg złoty przechowa i odda—na wiosnę. Wobec tego, że słowo u Wyspiańskiego jest myślą, **której krok każdy decyduje o naszym losie**, podczas gdy u jego krytyków zdaje się coraz bardziej tracić wszelkie znaczenie — o porozumienie było trudno. Niemniej gdy autor „Symboliki“ nietylko w finale Wesela ale i w finale Legjonu odkrywa „swoisty optymizm“, odkrywa coś więcej, jak swoistą bezmyślność, bo stan zbiorowej hipnozy, w którym logikę normalną zastąpiła **odwrócona**.

Wesele, jak cały „Teatr Słowa“, sięgać może najgłębszych tajemnic ludzkości, ogarniać może wszystkie problemy słowiańskiego losu, na planie współczesności polskiej — jest zupełnie konkretną, dotykalną, tą właśnie którą żyjemy, rzeczywistością. I jak w każdym z Wyspiańskiego dramatów, tak i tutaj ten świat myślą i wolą opanowanych zagadnień **jako stawanie się rzeczywistości, jako akcja** — redukuje się do form bardzo prostych. Oto Polska — mówi dziś akcja Wesela — cudem spadła wam „z nieba“. Zwrócił ją Wernyhora. Pozostaliście tacy, jak wtedy na tem z r. 1900 weselu. I te same w was żyją i hulają upiory. Temu, z którym się szlachcic narodowo bałamucił, Jaśkowi, do łapyście zaraz wepchali róg złoty. I tak samo czekacie — drugiego cudu. Jasiek znikł ze sceny? Nie znikł z rzeczywistości. Nie przestał być — większością. Nie dowiódł, że z pewnością nie zgubi — złotego rogu. A jak wówczas, na onej z 16 marca 1901 premjerze, ani wam się śniło o żadnym z historycznych faktów, które takie nie inne już tkwiły w dramacie i w 17 lat później sprowadziły wam Wernyhorę, tak i dzisiaj nic nie wiecie... o innych faktach, które równie nieodgadnione i wielkie, tają się tam może w dwóch lub trzech scenach trzeciego aktu i tak a nie inaczej rozegrają — tragikomedję. Zmieniło się co w polskiej chacie, w tym zaklętym dworze? Noc nie zapadła dokoła i nie rozpętało się Piekło? Stańczyk nie stoi przed politykiem-dziennikarzem, Rycerz Czarny przed poetą-żołnierzem? Branecki w tan nie zaprasza szlachcica a Szela chłopa? „Miasto“, polski inteligent, przestał być czem był wtedy? „Wieś“, chłop polski, zdolny się stał przemódz los zbiorowy?... Nie zdaje się, żeby którykolwiek z problemów Wesela rozwiązano inaczej jak na papierze. Dlatego, że na scenie nie widać drużby, „jutro wielką tajemnicą“ być nie przestało. Boć nie żadne „symbole ujemne“, jak prof. Cywiński nazywa Róg Złoty, ani inne bzdury, zwrócić obiecywało i zwróciło proroctwo Wernyhory, ale **polskie Państwo**. A Wesele nie przed czem innem chyba przestrzega, jak właśnie żeby ta rzeczywistość tak się nie stała **ujemną**, żeby ją ująć i wziąć mogli djabli.

Gdy państwo Wyspiańscy jadą do Bronowic na wesele „Lucka“, mąż i żona wiedzą, że się tam narodzi dramat. A niedawno przecie, bo przed rokiem, spojrzenie króla Kazimierza ogarnęło nietylko miasto:

że chwasty kłosom przerosły głowami,
głuszące czysty siew coraz hałaśniej, —

ogarnęło także i wieś polska:

że już zaczęto ze zbóż plewić pole:
moje dni sam przypomniał mi lud rolny
dawnym w zagrodach rządny obyczajem:
a i tam jeszcze dymne spalenisko
kurzące — i już śmierć duchowa blisko.

Nie, nie zdaje się, żeby centralny na dziś i jutro problem Wesela rozwiązano inaczej, jak przeeskamotowaniem go w przeszłość wraz z całym teatrem poety, „który zmarł już tak bardzo dawno“.

Tak dawno, że całkiem na serjo pisarze polscy zastanawiać się mogą nad takim „problemem“: róg złoty i sukmana Kościuszki są czy nie są przeciwstawnemi symbolami niepodległości (róg złoty tą niepodległością jest, sukmana Kościuszki była tylko dążeniem do niej). Czyżby p. A. G. Siedlecki jeszcze nie zauważył, że to „sukmana“ gubi w Weselu róg złoty, a Gospodarz się błaźni dlatego, że się wziął na romantykę wspomnień tamtych, na romantykę wogóle, ale że to wcale a wcale nie znaczy, żeby róg złoty nie był ze szczerego złota, choćby go nawet zwróciło i Piekło? A już z tym Wernyhorą! Ten wyga, o którym Boy informuje, że ma córkę, która się lansuje w Ameryce i który błogosławić przychodzi w jego „pracy“ Boyowi (patrz Wiadomości Literackie nr. 416—17); ten stary drań, który dalibóg dziś wygląda na handlarza żywym towarem — tak do serca przypadł polskim historykom literatury, że im od 15 lat nietylko wytłumaczyć nie sposób, czem jest ta figura w Weselu, ale choćby co o tym demonie i wrogu Polaków myślał i jakim go przedstawił Słowacki. I dalej ci panowie w Śnie Srebrnym i w Beniowskim czytają nie to co tam jest, ale to co Goszczyński, Siemieński i Czajkowski nabajali w swoich ramotach. — Wernyhora w Weselu jest najgroźniejszem z wcieleń Chochoła. Szatana przeczuwa w nim Gospodyni a widzą Kuba i Staszek, choć naturalnie nie widzi Gospodarz (ironja, którą p. A. G. Siedlecki wyczuwa w tej scenie, przedewszystkiem niestety jest ironją — pod adresem krytyki). Co mówi? Mówi to, co zależy od niego i od okoliczności. Mówi, że przychodzi nietyle z obrazu Matejki, ile ze Słowackiego, a nieco oględniej, że przychodzi z Piekła. Mówi o naszem jutrze mniej lub więcej sensowne, sytuacji odpowiadające ogólniki, inaczej: to, co każdy duch zły czy dobry mógłby powiedzieć czy to zwiastując w r. 1901 bliskie wskrzeszenie polskiego Państwa, czy to w 17 lat później ten cud realizując, czy też dzisiaj, przypominając, co było wtedy. Ale zapowiada także, że **wrócić powinien z Archaniołem** t. j. że cud okaże się cudem bożym a nie piekielną podrywką — dopiero gdy róg złoty zabrzmi z całą mocą, dopiero gdy naród sam los swój podejmie. Cała scena wogóle traktowana jest w ten sposób, że nie przesądza o niczem (kompozycję Wesela, jako szopki piekielnej i jako misterjum w Słowie i Sławie ziszczającego słowiańskie Przeznaczenie, zanalizowałem gdzieindziej). Traktowana jest w ten sposób, żebyśmy sami mogli rozstrzygnąć, czy ten duch, **który nam zwrócił Polskę**, był złym czy dobrym duchem; żebyśmy sami potwierdzili lub zaprzeczyli — straszliwą prawdę Wesela. „By żywi w dziejach myśli te przeżyli, z których gzło zdarły dramatu koleje“.

Ujmować można Wesele na różne sposoby. Np. jako sen ludzi tamtej generacji, z których tylu jeszcze dziś żyje, a którym się śni dalej co się z nimi stało i stanie. Można ująć także, jako jedną i tę samą **sytuację: kręcenie się w kółko, w oczekiwaniu cudu.** Cud pierwszy (zwrot złotego rogu) ziszcza się z końcem aktu II, cud drugi (ocknienie się narodu) **nie ziszcza się** z końcem aktu III („nim pojmie ich martwota“, mówi w Wyzwoleniu Konrad). Jedno i drugie jest Czarem, dokonuje się za sprawą złych mocy. „W tej chacie, w tym zaklętym dworze, Piekło gorze“. — Rozkłada się akcja szopki na momenty następujące, z których trzy pierwsze są już przeszłością: zwrócenie złotego rogu, wręczenie go Jaśkowi, zejście drużby ze sceny, zgubienie za sceną złotego rogu, powrót na scenę bez niego. Ażeby ziściły się dwa pierwsze momenty, trzeba było (vide „Kilka słów“) nie mniej ni więcej jak: pierwszej wojny światowej, zawalenia się caratu i Rosji, klęski Niemiec i Austrji, rewolucji rosyjskiej i bolszewizmu, odbudowania Rzeczypospolitej polskiej; ażeby ziścił się trzeci moment, wystarczyło powszechne w Europie bankructwo ledwo ziszczonej romantycznej ideologji 1848-go roku, roku „wiosny ludów“ i demokratycznych złudzeń. Co dalej? Niewiadomo. Jak niewiadomem było, jakie okoliczności sprowadzą Wernyhorę, tak niewiadomo, co stać się może — pomiędzy wyjściem drużby a jego powrotem. „Nutę pieśni im dawajcie, ale słów pieśni broń was Boże im dawać“, mówi Mickiewicz. Chochoł, który wie, że żenować się nie potrzebuje, daje nutę i słowa. Centralny na dziś i jutro problem Wesela—chochoł właśnie dlatego zapewnia, że problemy wogóle nie istnieją—nie przestał być czem był od początku; niezależnie od małej, przejściowej aktualności, redukuje się do tego, czy „chcieć zechcą“ „panowie“, żeby Wesele kiedyś nie mogło być grane pod tym tytułem: ARCYSZELMOWSKA SPRAWKA ALBO O TEM, JAK DJABEŁ PEWNEMU GOSPODARZOWI RÓG ZŁOTY ODDAŁ I ZNOWU GO UKRADŁ.

„Myśl Polski obecnej historycznej, pisał Stanisław Brzozowski, została rażona w samo serce piorunem Wesela i gdyby miała serce — padłaby trupem. Ale żywe trupy klaszczą i cieszą się. To jest tylko wielki poeta. Wielki poeta narodził się nam. Mamy wielkiego poetę“. Gdy ten kawał się udał aż nazbyt, gdy prof. Sinko wywiązał się tak dobrze ze swej misji zrobienia z Wyspiańskiego „klasyka“, że aż geszeft się urwał i „wielkiego poetę“ czytać przestano zupełnie, wymyślono nowy kawał. Jaki tam piorun, powiedziano sobie i klaskać zaczęto i cieszyć się znowu: mamy wieszcza niepodległej Polski! Zrobienie z Chochoła Archanioła, czyli wywrócenie do góry nogami Wesela, t. j. dramatu, który wraz z Wyzwoleniem bezpośrednio losy tej niepodległości ujmuje, tak samo niestety nic nie rozwiązuje, jak zrobienie z Wyspiańskiego zwiastuna narodowego zmartwychwstania na podstawie Akropolis, t. j. tego właśnie z jego misterjów, w którem Polski i współczesnej ludzkości już wcale nie widać.

Myśl Polski obecnej historycznej ma do wyboru pomiędzy spojrzeniem w twarz żywego Boga Tragicznej Historji, a ułatwioną w „Maison Tellier“ śmiercią.

Są tacy, którzy utrzymują, że już wybrała oddawna.

Adam Łada Cybulski.

Bios i logos

W numerze styczniowym „Gazety Literackiej“ Anatol Listowski wypowiada słuszne uwagi o problemach poruszonych przez Skiwskiego w artykule: „O istotę współczesności“ (na łamach „Wiadomości Literackich“). Istotnie, trudno się zgodzić na afirmatywne przeciwstawianie rzeczywistości „przeżywanej“ — wszelkim normom i ideałom, jako wrogim życiu. Sam podział na bios i logos, czyli na rzeczywistość przeżywaną i na system wartości regulujących (prawo, religja, nauka) jest słuszny w odniesieniu do świata zjawisk ludzkich. Schemat taki można przeprowadzić; można nawet widzieć kryzys kultury w swego rodzaju depolaryzacji i walce pomiędzy tem bios i logos. Kto jednak widzi czynnik dodatni i twórczy w dążeniu ludzkości współczesnej do zrzucenia niewygodnego jarzma jakichkolwiek norm, aby wyzwolić nagie, bezpośrednie „przeżywanie“ — jest conajmniej w błędzie.

Listowski pisze o tem następująco:

„Wydaje mi się, że wogóle nie możemy przeciwstawić „przeżywania“ — „normom“. Jeżeli przeżywanie rozpatrywać pod kątem widzenia procesu biologicznego — to odrazu należy zauważyć, że istota „bios“ jest dla nas nieznana — wobec czego obserwacja nasza ogranicza się do stwierdzania faktów. Stwierdzanie, że „coś“ się dzieje, jest czemś, co nie pozwala jeszcze zupełnie na zdanie sobie sprawy z rzeczywistości — fakty stwierdzane są luźne, są niejako chaosem — dlatego musimy szukać związków pomiędzy poszczególnemi faktami: — nie znając ich istoty zmuszeni jesteśmy przyjmować pewne założenia — wprowadzamy tem samem pewien ład; stawiamy pierwszy krok ku syntezie“.

W ten sposób — jak słusznie wskazuje Listowski jesteśmy nieuchronnie zmuszeni wprowadzić w grę „logos“. „Możemy sobie wmawiać niewiem jak, że normy nas dławią — lecz nikt jeszcze bez norm żyć nie potrafił, bo nikt nie potrafił żyć bez jakiegoś punktu oparcia. Umieszczając sens życia w przeżywaniu, popełniamy gruby sofizmat, zataczamy bowiem koło, w którem każdy punkt może być zarówno początkiem jak i końcem. W rzeczywistości nikt nie żyje „przeżywaniem“ — nawet ten kto buntuje się przeciwko „normom“ — bo ostatecznie zawsze buntujemy się przeciw czemuś i w imię czegoś. Zawsze dążymy do pewnych celów i kierujemy się w dążeniu pewnemi motywami — a wszak motywy i cele to nic innego jak normy i ideje“.

Możnaby poprzeć słuszne zastrzeżenia Listowskiego następującem uzupełnieniem:

1) Bios i logos — są w zdrowem, sharmonizowanem życiu istotnie nierozdzielne i dadzą się wyodrębnić tylko przez abstrakcyjne klasyfikowanie. Ale współczesna ludzkość jest chora na dysharmonję, gorączkuje. Nietylko rozdwoiła w sobie bios i logos, ale jeszcze wtrąciła je w stan wrogiego rozprzężenia, w stan walki.

2) W walce tej nastąpiło niebezpieczne pomieszanie pojęć: wzięto cofanie się za postęp, widząc w gwałtownym odwrocie ku ślepemu „bios“ (czystemu, a więc zwierzęcemu przeżywaniu) ideał przyszłości. Biegun ujemny rzeczywistości ludzkiej: bierne istnienie i przeżywanie, które może być tylko podporą, podłożem życia — postanowiono uczynić biegunem dodatnim; a przecież „bios“ to nasza natura zwierzęca, czyli rzeczywistość kształtowana, zaś „logos“, to rozum, atrybut rdzennie ludzki, rzeczywistość **kształtująca**.

3) Ten błąd wynika z tak częstego utożsamiania rzeczywistości, a więc i życia ludzkiego z samym tylko **bytem**, podczas gdy rzeczywistość ta składa się zarówno z bytu, jak z **wiedzy**, jest aktem przenikania się i wzajemnego neutralizowania obu tych elementów. Samo przeżywanie bez norm jest czemś płynnem, bezkształtnem, bezokreślnem, nie dającem się pomyśleć; poprostu jest **niczem**. Podobnie same normy ideje i cele, jako motywy postępowania). oderwane od przeżywania i stosowania ich przez człowieka, są czemś zawieszonem w próżni, jałowym abstraktem, a więc zarówno **niczem**. Dopiero ich **gra wzajemna** odbywająca się w żywym człowieku, świadomie dążącym ku wyrozumowanym celom — daje pełnię życia.

4) Spróbujmy konsekwentnie i kolejno wyzwalać człowieka z różnych warstw i systemów owych norm, a przekonamy się w jaki zabrniemy absurd. W wielości norm jest cała nieskończona mnogość zróżniczkowanych form świata ludzkiego, dostarczających materjału do przeżywania. Kasując je, będziemy kurczyć coraz bardziej zakres przeżyć, aż dojdziemy do najprostszych motywów seksualno-wegetacyjnych, podyktowanych przez głód i popęd płciowy i skończymy na „przeżywaniu“ czysto zwierzęcem — pozornie tylko dynamicznem i intensywnem, bo mętnem i odruchowem, a więc **prawie żadnem**.

Rzeczywistości ludzkiej szukać trzeba nie w dole, lecz w górze. A droga w górę wiedzie poprzez mnożenie norm i ideałów, a nie przez ich redukcję. W tym kierunku też osiągnąć można jedynie pełnię owego, tak afirmowanego dzisiaj, przeżywania. Bo w zenicie tych wszystkich ideałów znajduje się przecież nasze własne **Ja**, sam człowiek.

Listowski podejmuje ten problemat:

„Napis delficki — „poznaj samego siebie“, pozostał imperatywem natury ludzkiej — jedni odeń uciekają, chroniąc się za wygodne parawaniki „przeżywania“ i innych złudzeń życia ułatwionego, inni wciąż, odkąd ludzkość istnieje, różnemi drogami podchodzą do rozwiązania tej kwadratury koła, której na imię: człowiek“...

„Pytamy o człowieka? — pytamy zarówno w religji, wiedzy, w filozofji, jak i w sztuce. To są te same pytania. Musimy nadawać sens naszemu istnieniu, musimy szukać tego sensu, jeżeli chcemy żyć — a żyjemy; musimy pytać dopóki będziemy ludźmi — a nie możemy być niczem innem, jak ludźmi“.

Przechodząc do problemu przyszłej sztuki, poruszonego również przez Skiwskiego, Listowski, widzi istotę jej w **transcendencji**, t. j. w pytaniu o sens człowieczeństwa, przekraczającem krąg warunków danych. Sztuka psychologiczna, pytając o istotę człowieka, posługiwała się analizą, usiłując rozłożyć go na szereg elementów, z których jest on jakby mechanicznie zbudowany. „Dla sztuki psychologicznej człowiek był niezmiernie skomplikowanym, ale w gruncie rzeczy możliwym do rozwikłania mechanizmem — i tylko mechanizmem. Ujmowanie człowieka jako mechanizmu prowadzi jednak do poddania go całkowicie pod prawa determinizmu — czyni zeń istotę amoralną, neguje wolność woli i podważa poczucie odpowiedzialności. Sztuka zaś, która czyni z człowieka mechanizm amoralny, jest sztuką indywidualnie i społecznie niemoralną“.

„Jeżeli „odczłowieczenie sztuki“ jest naprawdę signum temporis — a wydaje się, że jest nim, to nie może ono oznaczać nic innego, jak spirytualizację sztuki — nie można wyjść poza siebie, można tylko przewyższyć swoje „ja“, związane z przestrzenno-czasowem, sensualistycznem postrzeganiem“

Dlatego ta nowa sztuka będzie w najgłębszej swej istocie sztuką moralną“.

Uwaga ta świadczy o zrozumieniu przez Listowskiego, że istota moralności wiąże się wewnętrznie i koniecznie z owym imperatywem przekroczenia obecnego zakresu człowieczeństwa, gdzie „kwadratura koła“ nie da się rozwiązać, dla sięgnięcia ku naszej rzeczywistości wyższej, **mającej swą rację bytu w samej sobie.**

STANISŁAW ROGOWSKI

Astronomowie

napisani żarzącemi cyframi na tańczących żyrandolach półkul
zachłystywali się odkryciem niezłomnem: wobec Saturna jest Ziemia
[drobną kulką

Sto wykresów gwiaździstego nieba, sto wypadów w nieuchwytne próżnie
ciągle: jakby to wszechświat zolbrzymić jakby ludzi z wszechświatem
[poróżnić

ciągle: słońce jest gigantyczną planetą, ma trwałą energję własną
(zapomnieli, że patrząc się w słońce trzeba czasem przed niem przyga-
[snąć)

tylko oczy wciąż wbite w firmament, teleskopy iglące jak kilof
jakby jeszcze pragnęły wykrzesać gwiazd conajmniej rozświetlonych
[miljon

krzyk podnieśli: my astronomowie! — —
— sterczą ręce pionowe ku górze niepotrzebnem bagiennem sitowiem

krzyk podnieśli, pragną, ciągle pragną
– zamknął ktoś mikrokosmosy w bagienne lepkie bagno

napisane żarzącemi cyframi, wykreślone swoją teorją
spłonęły kiedyś... czarne węgle — w piecu, w obserwatorjum.

MARJAN CZUCHNOWSKI

Wyraz

Drzewa, srebrne żyły krajobrazu.
Spłynęły żółte zwoje
raz —
i trudniej
w falujący wyraz.

Podmurowane z dali —
w powietrzu cicho żarzą się miasta.

Tak
niebo gwiazdy wyroi
z wyścielonego dna.

Czerń ubiegłego nisko horyzontu —
tu,
jak —
szmaragd,
w studni.
Aż tu,
w księżycu
wypali —
wieś,

. . . .

którym uciętą odległość żarzy.

HENRYK DOMIŃSKI

Zmierzch

Wysoko płaskie tace dachów. Tam wiatr anteny kołysze.
Pod białą drogą gwiazd waży się zmierzch. I cisza.
A miasto rozśpiewane tramwajowemi dzwonkami
pulsuje jak serce zamknięte w murów kamień
w potokach elektrycznych reklam.

W ciżbie gmachów jest jeden stary klęczący przed kościołem dom
Zagłuszyły go tamte olbrzymy tłoczące się z wszystkich stron.
Modlitwy nie słychać.

Prostokąt okna biegnący w sad
gdzie drzewa, krzaki, zioła umierają i rosną jak chcą.
Parapet okna o który oparłaś rękę swą
jest progiem, tych co były, lat.
Patrz, po sadzie, w zmierzchowej szarzyźnie
ukazują się pogubione sny.
Na mętnej jak woda szyby płaszczyźnie
kropla za kroplą łzy.

W radjowym głośniku odzywa się muzyka,
Splata się w strugę podwójną z pogwarem miejskich rzesz.
Liryka.
Liryczny zmierzch.

BOLESŁAW MICIŃSKI

Na śmierć Achilla

Józefowi Wittlinowi —

poświęcam.

1

Już bóg kylleński Hermejas
Zwołuje ku sobie umarłe
Nad morskim idą odmętem
Skrwawione posępne
Skrzydłami trzepią spłoszone
Żałobnym idą tłumem
Z klangorem... z poszumem...

Jak nietoperze w mroku lecą,
Jak ćmy na żółty płomień świecy
W mgle czarnej chwieją się kołyszą
Jak wiatrem gnane liście klonów
Łamanie rąk i żale płone
W ponure miasto we śnie idą
Pelido! Eheu —
Pelido!

2

Wiszą zetlałe żagle
Skrzypią spróchniałe łodzie
Po czarnej wodzie
Krążą... płyną
Hermejas berłem złotym skinął
Berłem złotym
W źrenice szkliste uderzył

Tyżeś to synku mój, —
Płakała matka wodnica
— Oto stoisz przedemną umarły
Nie ujdzie człowiek śmierci
Rzekła
I szaty rozdarła
Na boskiej piersi.

3

Płakalim dniami — nocami
Wiecznie żyjący bogowie
Płakali ciebie Achillu
Płakały na stosie wysokim
Brzozy żywicznym sokiem
I sosny smolnemi łzami.

Słup dymu w niebo uderzył
Jezdni i piesi Achaje
Biją w miedziane pancerze
Wznoszą bojowe okrzyki.

4

Stoją w dymie srebrno - sinym
Okrwawione jarzębiny
Wiatr łzy czerwone postrącał.

Dom

Dom Twój z cedrowych bierwion
Z gór dalekich Amana i Hermon,
Z pni oliwnych okutych śpiżem
Z rudych sosen zwiezionych z wyżyn
Zbielonych śniegiem gór Libanu

Rzezane kształtem jabłek leśnych
Cedrowe belki i przyciesie
Nakryte purpurowym stropem
Pogasły gwiazdy w mroku złotym
Poklękły woły kute z bronzu,
Zczerniały pnie tyryjskich wiązów

Zielone morze w misach złotych,
Księżyc miedziany
Senny motyl
Na srebrnych kolcach róży szklanej
Rozchylił skrzydła centkowane

Nakryta z gwiazd wiązaną siecią
Krwistym owocem jabłoń świeci
W stężałym mroku blask rozsiewa
Wąż oplótł pień pochyły drzewa

Jodłowych wieżej domu Twego
Dwa cherubiny nocą strzegą,
Dwa cherubiny z miedzi lane
Skrzydła miedziane
Oczy szklane.

Popularna analiza poglądu fizykalnego

I

Wobec tego, że z jednej strony fizyka, przeszedłszy straszliwy kryzys swoich podstawowych pojęć, zaczyna, jak zwykle każda nauka po większym lub mniejszym kryzysie, konsolidować się na wyższej od poprzedniej płaszczyźnie, w formie doskonalszej niż dotychczasowa, z drugiej zaś strony coraz wyraźniej występuje antyfilozoficzny, w dotychczasowem znaczeniu, kierunek w łonie samej filozofji[1]) trzeba — aby uniknąć błędów polegających na przedwczesności sądów — dokładnie zdać sobie sprawę z procesu, który przeżywamy. Co do tego panuje, na pierwszy rzut oka, chaos zdań, nie odpowiadający samemu zamięszaniu w materjale faktycznym.

Przedewszystkiem mam zamiar niniejszą pracą wpłynąć uspakajająco na laików[2]) (im to bowiem jest poświęcony szkic niniejszy), ostudzić zapał przedwcześnie zbyt radykalnie nastawionych sceptyków, ukrócić tupet fałszywych proroków radykalnego empiryzmu, a także przedstawić fachowcom tak ze strony specjalności naukowej, jak i filozoficznej, pewne, względnie nowe problemy, lub oświetlić stare, ze strony z której — przynajmniej o ile mi się zdaje — u nas explicite naświetlane nie były. Dawniej wogóle nie zajmowano się u nas laikami. W przeciwieństwie do Niemców, którzy oddawna produkowali masy całe spopularyzowanej wiedzy ścisłej i filozofji, my nie zrobiliśmy na tem polu nic. I teraz, kiedy nareszcie i u nas, pobudzone snobizmem raczej, niż istotną potrzebą wiedzy, masy inteligentów i pół - inteligentów zażądały jakiegoś pokarmu w tym rodzaju, możemy im podać narazie jedynie tłómaczenia z głośnych na cały świat dzieł angielskich i rosyjskich (np astronoma Jeansa i fizyka Chwolsona — tego tytana popularyzacji, który najtrudniejszy problemat umie przedstawić tak, że dziecko nie znające zupełnie fizyki jest w stanie pojąć go odrazu) — nie mogąc się wykazać nawet w tej sferze żadną oryginalną pracą, prócz jednej zdaje się książki Szczeniowskiego i Ziemeckiego „Promieniowanie i materja“[3]). Na zainteresowanie się filozofją — — oczywiście o 80% chyba mniejsze niż fizyką — wskazywałyby wydane niedawno dzieła w języku polskim — tem nie mniej oryginalnemi pracami niebardzo możemy się poszczycić. O ile mi wiadomo rozpowszechnianie się książek tych postępuje bardzo powoli. Jednak ani czytanie popularnych dzieł naukowych, ani nawet przestudjowanie wymienionych traktatów historyczno - filozoficznych nie może dać laikowi należytego poglądu na żywe w tej chwili zagadnienia: stosunku nauki do poznania (o ile poznanie jako takie wogóle istnieć może, a nie jest tylko i zawsze mniej lub więcej przybliżonym opisem), stosunku nauki do filozofji i filozofji do rzeczywistości, o ile uznamy oczywiście że rzeczywistość ta jest jedna, wbrew znakomitemu logistykowi i polskiemu „carnapiście“, Leonowi Chwistkowi, którego antymetafizyczne wystąpienia, jakoteż jego teorję wielości rzeczywistości muszę uznać za wysoce szkodliwe dla polskiej umysłowości w jej obecnem stadjum rozwoju, co też szczegółowo postaram się na innem miejscu udowodnić. Narazie dowodzi już tego choćby powoływanie się na jego autorytet kretynoidalnych[4]) krzykaczy pseudo-naukowych i antyfilozoficznych w „Wiadomościach Literackich“, którzy nie rozumiejąc nic a nic ani nauki, ani filozofji, ani napewno samego Chwistka — mającego bądź co bądź za sobą do pewnego stopnia choćby zdecydowany, jakkolwiek negatywny i relatywistyczny, światopogląd — szerzą tylko ciemnotę i nieuctwo w naszem i tak już umysłowo biednem społeczeństwie. Mam nadzieję, że z czasem wszystko się wyjaśni, ale narazie zawcześnie jest trochę na „scarnapienie“ (czytaj kotku skarnapienie) u nas — (termin ten urabiam od nazwiska najklasyczniejszego „minimalisty“ niemieckiego w filozofji, Rudolfa Carnapa, dla którego — w przeciwieństwie do naszych antyfilozofastrów, jako do uczciwego i prawego myśliciela — można mimo różnicy poglądów mieć najgłębszy szacunek) — gdzie myśl filozoficzna jest w zarodku zaledwie, spowita w tumanach mistycyzmu, a pozytywne wyniki są minimalne. Odwartościowanie zgóry filozofji, jako takiej jest w tych warunkach poprostu zgubne, a ludzi którzy się do tego przyczyniają, nawet z całą dobrą wolą, należy uznać za społecznych szkodników.

Laik jest u nas stworzeniem najnieszczęśliwszem w świecie, o czem przeważnie nie wie, karmiony od początku odpadkami nieświeżej myśli, zdany na łaskę przygodnych wyjaśniaczy (do których i ja niestety — ale tylko przygodnie — należę, starając się jednak bez skutku o ogólną, przejaśniającą dyskusję rzeczową), zniechęca się do wszystkiego, przychodzi do wniosku, że filozofja jest dowolną bzdurą, i rzuca się w objęcia czekającej go gościnnie spopularyzowanej fizyki, którą przyjmuje zupełnie mylnie (co nic nie ubliża fizyce, nawet według zdania jej najwybitniejszych przedstawicieli, np. Weyla i Jeansa) za ostatnie objawienie wiedzy absolutnie o wszystkiem i tem zakorkowuje umysł swój definitywnie. Sztucznie odproblemiony świat zapada w pojęciowych wymiarach w otchłań szarzyzny codziennego poglądu życiowego: nie trzeba myśleć — odpowiada za wszystko fizyka. Ale czem jest naprawdę fizyka, nie wie biedny laik i nie może się dowiedzieć, ani z popularnych dzieł naukowych, ani z historji filozofji. Nie mając zamiaru pchać się na pierwszy plan z mojemi rozwiązaniami, które może są jeszcze przedwczesne, chcę tylko wybebeszyć odnośne problemy, postawić problematykę tej ciemnej sfery między filozofją (czyli jakbym proponował ją nazywać Ontologją Ogólną, czyli nauką o istnieniu), a nauką, napomykając zlekka o możliwych wyjściach z matni i krytykując zlekka podane już rozwiązania.

Nauka danego kraju rozwija się nie tylko w zależności od doskonałości personalu i urządzeń wyższych uczelni, jakoteż doboru studentów. W mniejszym stopniu niż dla Sztuki, ale dla niej także mimo pozorów, konieczna jest atmosfera ogólna o pewnym poziomie. Na tem polega wyższość Niemców nad całym światem nieomal, że u nich ogólny poziom umysłowy całego społeczeństwa jest taki wysoki — oni zaczynają już wszelkie wyższe studja o kilka szczebli wyżej niż inne kraje, nie mówiąc nawet o nas, gdzie wskutek zbydlęcenia młodzieży (w czem nadmiernie propagowany sport nie jest bez winy) i obniżenia poziomu szkół średnich, wyższe uczelnie zaczynają się zapełniać materjałem, stojącym o wiele poniżej wymaganej przeciętnej normy. Dlatego to, niezależnie od wielkich nawet różnic poglądów — uniemożliwiających narazie nawet porozumienie co do terminów — uważam wbrew Leonowi Chwistkowi, a za Irzykowskim, dyskusję rzeczową za rzecz niezmiernie płodną i pożyteczną. Jednak wymaga ona pewnego już pojęciowego, a nadewszystko intelektualno — a nawet powiedzmy otwarcie, nawet życiowo - etycznego poziomu, o który u nas z najrozmaitszych względów tak jest trudno. Jak słusznie twierdzi Irzykowski, że mimo, iż nikt narazie nikogo nie przekona, na dalszy dystans nie jest mimo to dyskusja całkiem bezpłodną, jak to wmawiają innym niektórzy ludzie, chcący tanim kosztem utrzymać się przy fałszywym autorytecie. Dyskusja pobudza krytycyzm, zmusza do wynajdywania argumentów subtelniejszych od oszczerstw i walenia pałką po łbie, budzi niepokój, pozbawia tak niebezpiecznej w sferze intelektu auto - sugestji w kierunku uznania swych koncepcji za doskonałe (przyczem staramy się usilnie nie widzieć własnych błędów) a nadewszystko korzystna jest dla przysłuchujących się. To może jest jej najistotniejsza wartość społeczna. Walka bardziej zajmuje przeciętnego inteligenta niż wykład jednej osoby. A przez interes dla walki jako takiej, zainteresuje się niejeden osobnik, potem samą jej istotą — jej przedmiotem.

Po tym wstępie zajmę się rozważaniem istoty poglądu fizykalnego, przyczem będę starał się jak najmniej brnąć w moj t. zw. przezemnie „system filozoficzny“, chyba że będzie mi to absolutnie potrzebne.

S. I. Witkiewicz.

[1]) Do krytycznego rozpatrzenia tych zagadnień w związku z poglądami Russella, Carnapa i Franka, powrócę na innem miejscu.

[2]) Sam nie uważam się za laika w filozofji, którą zajmuję się od lat 30-tu a za to uważam się za półlaika w fizyce t. zn za kogoś, który rozumiejąc o co chodzi, nie może studjować fizyki a fond, z powodu niedostatecznych podstaw matematycznych.

[3]) Ostatnio pojawiło się tłomaczenie „wstępu do filozofji“ Jeruzalema, które można polecić początkującym, jakoteż wyszły wypisy filozoficzne Ajdukiewicza i dwie historje filozofji: Heinricha i Tatarkiewicza. W tej ostatniej jednak daje się zauważyć niesłychanie pobieżne potraktowanie filozofji najnowszej, np. psychologizmu i Husserla.

[4]) Pojęcie kretynoida stosuje się do osobników, których mimo wszystko zupełnymi kretynami nazwać niemożna, bo wiedzą np. co to jest radjo, motor Diesla, lub aeroplan, a jednak tyle im umysłowo brakuje, że niewiadomo co z nimi wprost zrobić.

Wernyhora i złoty róg

Pod tym tytułem ukazało się w grudniowym numerze „Przeglądu współczesnego“ studjum Eugenjusza Kucharskiego o symbolice Wesela, wygłoszone uprzednio jako odczyt we Lwowie (o czem pisaliśmy w poprzednim numerze „Zetu“).

E. Kucharski analizuje na wstępie dwa przeciwstawne sposoby wyjaśniania symbolicznych utworów literackich, z których pierwszy szuka punktów oparcia dla interpretacji wewnątrz samego dzieła, drugi zaś usiłuje je znaleść poza dziełem, w faktach zewnętrznych, mogących mieć związek z twórczością autora, np. w zdarzeniach realnych z jego życia, w jego lekturze, zainteresowaniach, poglądach itp. Obydwie metody uważa E. Kucharski słusznie za niewystarczające, opowiadając się za metodą, którą możnaby nazwać syntetycznie dedukcyjną. „Punktem wyjścia jest tu zazwyczaj ukryte, milcząco przyjęte założenie (aksjomat estetyczny), że utwór literacki jest wewnętrznie uzgodnioną całością, syntezą artystyczną wyższego rzędu o intencji znaczeniowej, konsekwentnie przeprowadzonej i należycie opracowanej“ Przy określaniu właściwego znaczenia jakiegoś symbolu, czy alegorycznej postaci ważnem jest rozpoznanie „do którego z dwu pól intencjonalnych, dodatniego czy też ujemnego, dany wytwór wyobraźni przynależy“. Znaczenia niezrozumiałych członów szukać w sferze ogólnej intencji utworu, wyjaśniając je zapomocą członów o znaczeniu wiadomem. „Jest to bowiem podstawowe i przyrodzone prawo sztuki, że całość wyznacza zawsze charakter i sens swych części, a każdy ustrój lub wytwór nadrzędny uzależnia i określa charakter lub sens składników czy też elementów podrzędnych“.

Stosunek Wyspiańskiego do bezkształtnych i bezkierunkowych rojeń o Polsce był negatywny. Toteż wszystkie postacie fantastyczne „Wesela“, z Wernyhora włącznie należą do ujemnego pola intencjonalnego w wyobraźni autora. „Nasuwają się dwie możliwości: albo są to fantastyczne indywidualności i nasłani wykonawcy demonicznej woli Chochoła, albo też są to tylko jego rozmaite przekształcenia, jego hipostazy, fantazyjnie przystosowane do kręgu zainteresowań duchowych i myśli tych żywych osób, którym się jawią“.

Chochoł jest postacią zdecydowanie ujemną. „Jedyna postać utworu, nawet w środkach symbolizacji zewnętrznej napiętnowana najdosadniejszym wyrazem uczuciowej odrazy i wstrętu, na jaki tylko zdobyć się może dusza artysty — klątwą amorfizmu i bezkształtu. Ohydna, pokraczna pałuba słomiana, „głupi śmieć“! Zjawy, od podobnego stworu uzależnione, nic dobrego nie zapowiadają i pozycji sympatycznej w poetyckiem odczuwaniu wartości zajmować nie mogą“.

Kucharski wykazuje dalej chaotyczność, amorfizm i zupełny bezsens poleceń Wernyhory: „jest to jakiś taki duch, który zna nasze ludzkie słowa, ale zupełnie nie rozumie ich sensu, nie posiada naszych ludzkich pojęć“. Dekoracyjność, werbalizm i magiczne gesty, oto wszystko na co się umie zdobyć. Te „wici“ to tylko ceremonja obrzędowa która ma rację bytu w samej sobie. Trzeba rozesłać wici, choć wszyscy są na weselisku i można ich natychmiast zawołać. „Skoro porozsełasz gońce, Zgromadzisz lud przed kościołem“. Widoczna sprzeczność, bo zanim jeszcze lud ma być zwołany, już ma stanąć przed kościołem. Ten lud ma jedynie wytężać słuch, czy Wernyhora nie jedzie od Krakowa z Archaniołem. Ale trzecie zlecenie dementuje oba poprzednie:

> Leć kto **pierwszy** do Warszawy
> z chorągwią i **hufcem sprawy**,
> z ryngrafem Bogarodzicy;
> kto **zwoła** sejmowe stany,
> kto na sejmie się pojawi
> sam (!!) w stolicy — ten nas zbawi!

A zatem Warszawa, nie Kraków. Zbawi nas szybkobiegacz, nie Wernyhora. „Kto — pierwszy“ więc sam, ma przybyć nie sam, lecz z hufcem. Ma zwołać nie wybrane jeszcze sejmowe stany. „Ma następnie na tym sejmie - niesejmie i w tej stolicy — niestolicy stanąć i pierwszy i niepierwszy, bo z hufcem, i nie z hufcem, bo — „sam w stolicy“!

„Wernyhora, składając złoty róg w ręce Gospodarza, przygotowuje sobie grunt dla akcji, ukazanej w rozwiązaniu dramatu“. Ten dar fatalny ma już teraz działać automatycznie, z wolą czy bez woli Gospodarza. Wernyhora wie już, że cały „wytężaj słuch“ uda się teraz i bez niego „W zakończeniu dramatu zbiera on plon z tego, co pod osłoną rozmaitych zjaw fantastycznych w ciągu aktu II, a zwłaszcza w rozmowie z Gospodarzem zasiewał“. „Jest to jedyna hipostaza Chochoła, wyposażona otwarcie w rysy szatańskie i w duchu demonologji ludowej nasycona piętnem piekielności“.

Na zwrotnicy

Kilka cytatów.

„...Nasuwało się stale, chociaż podświadomie: pytanie, co ma być polską racją istnienia, jaką ideologję stworzy sobie odrodzona Polska, aby godnie zająć miejsce wśród rodziny innych narodów. Czy ma być Polska tylko powtórzeniem, więcej lub mniej zupełnem innych organizmów państwowych, czy też ma znaleźć swoją własną filozofję życia, ideowe uzasadnienie swego istnienia. Rola Polski w czasach przedrozbiorowych była dość jasna. Przeszłości tej nie można było jednak wskrzesić w naszych czasach. Rola przedmurza chrześcijaństwa skończyła się, bo chrześcijaństwu nie grozi (?) niebezpieczeństwo zalewu przez hordy wschodnie. Niesienie kultury łacińskiej na wschód także przestało być aktualne, gdyż wschodni sąsiad Polski, ZSSR. wytworzył sam swoją kulturę i raczej chce ją innym przekazać. Tolerancja religijna stała się dogmatem powszechnym. Demokracja w nowem tego słowa pojęciu jest również realizowana we wszystkich krajach świata. — Ale idealizm, który jest cechą natury polskiej, każe podświadomie szukać realizacji innych ideałów, niemniej może dla ludzkości ważnych, chociaż mniej efektownych". **(Dr. Mieczysław Ziemnowicz)** „Szkolnictwo". Encyklopedja Gutenberga, tom XIII, str. 203).

„...Ludzkość stanęła z końcem 19-go w. w takim punkcie, który oznacza kres dotychczasowej linji rozwojowej. Nie może ona iść dalej w tym samym kierunku, ponieważ ta droga urywa się nieodwołalnie, nie może ona też cofnąć się wstecz, ponieważ czas idzie tylko naprzód. Według zwyczajnej logiki codziennej, znalazł się człowiek w położeniu bez wyjścia. Zwyczajna logika mówi, że skoro niemożna iść ani wprzód, ani wstecz, to pozostaje tylko trwanie w jednem miejscu, czyli śmierć; ale istnieje inna logika, która mówi, że można jeszcze iść wgórę. To, co na jednym poziomie jest sprzeczne, może uzgodnić się na wyższym.

Jeżeli potrafimy obie przeciwne zasady w sobie jednocześnie w pełni przetrawić, to wtedy możliwem się staje zdobycie czegoś pełniejszego, wyższego — czegoś nowego — czegoś, w czem się owe przeciwne zasady harmonijnie rozwiązują... Tworzą się wiry sprzecznych sił, z któremi bezustannie zmaga się człowiek dzisiejszy — a ci, którzy umieją prawdzie spojrzeć w oczy, krzyczą głośno, że wiry te pochłoną nas nieodwołalnie, że kultura ludzkości, doszedłszy do swoich ostatecznych konsekwencyj, musi rozsypać się w gruzy — że ludzkość pogrążyć się musi w stan dzikości i zwierzęcej pierwotności. Istotnie, sprawy potoczyłyby się niewątpliwie w taki sposób, gdyby niemi kierowała wyłącznie owa przyziemna logika, o której wspomniałem. Na szczęście, istnieje ta druga logika, pełniejsza, która poza kierunkiem wstecz i wprzód zna jeszcze trzeci kierunek, prowadzący wzwyż. Wspomniałem jednak, że siłę tego wydźwignięcia się zdobyć można jedynie wtedy, gdy się najpierw obie przeciwne zasady w sobie w pełni zrealizuje — gdy się obie równocześnie w pełni wyczuje i uzna. **Któż zatem powołany jest do tego wielkiego dzieła?** Nie chcę, aby mnie posądzono o szowinizm, od którego jestem b. daleki: pragnę tylko wskazać rzecz objektywnie zupełnie oczywistą, że warunki do tego posiadają **przedewszystkiem ci, którzy są zdolni w równej mierze zrozumieć wschód, jak zachód — a więc ci, których los umieścił na rubieży pomiędzy temi dwoma przeciwnemi światami.** Zdaje mi się, że nie potrzeba być prorokiem aby widzieć, że w tym procesie dziejowym najważniejszą rolę odegrać powinna Polska, a potem Rosja. Nie myślę jednak, aby to odczuwać należało jako szczęśliwy dar przeznaczenia; myślę, że jest to raczej **wielka i ciężka próba** — myślę, że jest to twardy, żołnierski obowiązek, jaki nam przypadł w udziale". **Karol Homolacs.** Gazeta Literacka, listopad 1932).

Przytoczyliśmy dwa głosy polskie — obydwa „megalomańskie", gdyż rzeczą jest naukowo stwierdzoną, że ktokolwiek wierzy, iż naród jego ma coś do spełnienia na ziemi — jest megalomanem. A oto głos angielskiego myśliciela i pedagoga, którego szanujemy jako człowieka zacnego i szlachetnego, ale którego pogląd na świat bynajmniej nie wydaje nam się zdatnym do tego, by na nim budować nowy systemat wychowania Człowieka:

„...Dochodzimy do teoryj, które wychwalają całą ludzkość, rozważaną osobno lub też w porównaniu z niemem stworzeniem". Ludzie mają dusze, choć zwierzęta ich nie mają; człowiek jest „rozumnem zwierzęciem"; wszelki szczególnie okrutny lub przeciwny naturze czyn nazywa się „brutalnym" lub „bestjalskim" (aczkolwiek w rzeczywistości do podobnych czynów jedynie ludzie są zdolni); Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, a pomyślność rodu ludzkiego jest ostatecznym celem wszechświata... Urojenia jednostek i grup mogą być zabawne, ale zbiorowe marzenia ludzkości mają w sobie coś patetycznego (po ang. pathetic znaczy: wzruszający, żałosny. Przyp. mój.)... Nasza planeta jest mikroskopijną kropką. Malutkie bryłki związków węgla i wody, mające skomplikowaną budowę i niezwykłe własności fizyczne i chemiczne pełzają w ciągu niewielu lat po tej kropce, póki znów nie ulegną rozkładowi na pierwiastki składowe. Dzielą one swój czas między pracę, której celem jest odroczenie chwili rozkładu dla nich samych, a gwałtowne wysiłki, zmierzające do przyśpieszenia tego momentu, dla podobnych im istot... Powiadają nam jednak, że taki pogląd na życie jest nie do zniesienia i pozbawiłby ludzi tej instynktownej energji, która ich podtrzymuje w przeciwnościach. Dlatego schronili się oni pod skrzydła religji i filozofji. Jakkolwiek świat zewnętrzny może się wydawać obcy i obojętny, pocieszyciele nasi twierdzą, że pod pozorami sprzeczności kryje się harmonja. Cały długi rozwój z pierwotnej mgławicy jest, wg. ich przypuszczeń, tylko przygotowaniem się do pojawienia się człowieka... Wielu z nas może utrzymywać, że wymyślone przez ludzi systematy mogą być wprawdzie fałszywe, lecz w każdym razie są pocieszające i nieszkodliwe, należałoby je zatem zostawić w spokoju. W rzeczywistości, jednak są one szkodliwe; pociecha, jaką przynoszą, jest drogo okupiona, ponieważ pod ich wpływem ludzie godzą się na znoszenie niedoli, której byliby w stanie zapobiec..." **Bertrand Russell:** „Marzenia i fakty", tłum. A. Kurlandzkiej).

Trochę analizy.

Przykre robi wrażenie, gdy feljetonista zabiera się do tego, by się w 5 minut załatwić z myślicielem, który życie strawił na dociekaniach. Nie chciałbym, by mię czytelnik posądził o taką płochą czelność w stosunku do Russella. Idzie tu o całe tysiąclecia trwającą walkę światopoglądów; argumenty moje są krótkie i pobieżne, lecz oparte na wynikach filozofji, której linja rozwojowa jest nader długa i bogata. Mam ponadto przeświadczenie, że Russell jest agnostykiem z cichej rozpaczy i rezygnacji, a nie z upodobania; zaliczyłbym go w poczet tych, o których tak pięknie mówi V. Hugo:

Ces douteurs ont fraye les routes
Et sont si grands sous le ciel bleu.
Que désormais, grâce à leurs doutes.
Ont peut enfin affirmer Dieu.

A teraz postaram się ukazać, jak twierdzenia i zarzuty Russella mogą się przedstawić z odmiennego zupełnie stanowiska.

„Człowiek ma duszę, zwierzę jej niema" ironizuje Russell. — Ale przedewszystkiem: czem jest „dusza"? Jeśli poprostu elementem — wiedzą, to naturalnie zwierzę musi ją posiadać; jeśli natomiast zasadą indywiduacji absolutnej, to taką duszę trzeba uznać za ostateczny, najwyższy i b. jeszcze daleki cel całego rozwoju wiedzy, przypisywać ją zaś ostrydze czy choćby psu — to chyba nadmiar hojności. „Człowiek jest „rozumnem" zwierzęciem". — Zostały tu pomieszane 2 nader różne znaczenia wyrazu rozum. Jeżeli ma to być przeciwstawienie głupoty, wówczas twierdzenie, że ludzie są z natury swej rozumni (klug), istotnie brzmi dość pociesznie na tle naszej zgoła niepocieszniej rzeczywistości. Natomiast rozum, przeciwstawiany w filozofji krytycznej rozsądkowi, jest to władza (faculté) zasad, wiecznie się dla każdej rzeczy domagająca jej **przyczyny i celu, tj. jej absolutnej racji bytu.** A że człowiek jest tą władzą obdarzony bezsprzecznie, tego dowodzi chociażby fakt... wadliwego jej użytkowania przy „wymyślaniu pocieszających systematów". Zwierzę zaś poprzestaje na bezpośrednio danych faktach i napewno nie pragnie rerum cognoscere causas.

Szczególniejsze okrucieństwo zwiemy bestjalstwem, choć właśnie tylko człowiek (a nie bestiae) dopuszcza się go. — Zgoda. Ale czyż nie uderza okoliczność, że podczas gdy przed chwilą autor usiłował zatrzeć różnice, to teraz nagle sam je dobitnie podkreśla — oczywiście na niekorzyść człowieka. Trochę to przypomina tę namiętną przeciwniczkę zabobonów, która twierdziła, że 13-stka jest owszem liczbą wyjątkowo pomyślną. Tak, tylko człowiek jest naprawdę okrutny — a to dlatego, że to co u zwierząt jest najzupełniej z ich przyrodzeniem zgodną **koniecznością,** to jedynie u człowieka może już być aktem **wolności,** samorzutności: czemś, za co się jest **odpowiedzialnym,** a co eo ipso podlega probierzowi **zła moralnego.** Moralnie złą jest dana rzecz tylko wtedy, gdy ją popełniam, choć **mógłbym** jej nie popełnić; moralnie dobrą może być tylko rzecz, którą czynię bez żadnej korzyści lub nawet z uszczerbkiem dla swych indywidualnych interesów, a więc rzecz z „naturalnego" stanowiska bezsensowna. Jakżeby zwierzę mogło się dopuścić tych „przeciwnych naturze" czynów, o których tak nielogicznie mówi znakomity logistyk? Przeciwny naturze może być tylko czyn dobry dla samego dobra lub zły dla samego zła; u zwierzęcia zaś wszystko jest właśnie naturalne. Czyż można przypuścić, że głodny wilk ulituje się nad jagnięciem i puści je cało, albo że jagnię rozmyślnie zamąci wilkowi wodę, by mu wyrządzić przykrość? My zaś nieraz robimy i to i tamto.

„Celem ostatecznym wszechświata ma być pomyślność ludzkości!" — Ale najpierw: co to świat? co to rzeczywistość zewnętrzna? Czy moja wiedza, to tylko bezwładne zwierciadło, wiernie (dlaczego?) tę zewnętrzność odbijające? W takim razie cukier jest nie tylko dla mnie, lecz „naprawdę" słodki, wiśnia czerwona, kamień ciężki; jeśli atoli jestem atletą, daltonikiem i cierpię na niestrawność, wówczas kamień staje się „naprawdę" lekkim, wiśnia zieloną, cukier gorzkim. Nie, to chyba nieco za naiwny realizm; trzeba poczynić ustępstwa na rzecz idealistów. Ale znowuż ci twierdzą, że, poza memi o rzeczach pojęciami, rzeczy wogóle niema. Czemuż tedy nie mogę dowolnie zmieniać koloru wiśni czy smaku cukru? Widocznie jednak jest coś nazewnątrz mnie i ode mnie niezależnego. Z konieczności dochodzimy do wrońskiańskiej koncepcji dwu rdzennie heterogenicznych elementów: przedmiotowego i bezwładnego Bytu, oraz podmiotowej i samorzutnej Wiedzy, których synteza tworzy dopiero Rzeczywistość. Dalej: co to cel? Jest to **możliwość,** którą się ma przeistoczyć w **faktyczność.** Czy może on pochodzić ze rdzennie bezwładnego Bytu? Jawny absurd! Jeśli więc wszechświat ma — objektywnie biorąc — jakiś cel, to może on dotyczyć jedynie współtworzącej wszechświat Wiedzy; jeżeli objektywny (lub raczej heteroteliczny) cel nie istnieje, to samorzutnie wytworzyć go sobie może znowuż jedynie Wiedza. Ale czy ludzka, spyta ktoś. Oczywiście — boć i ten wszechświat, który znamy, jest ludzki a nie jakiś inny; zresztą kto gruntownie przemyślał, na czem polega **powszechność** Wiedzy w przeciwieństwie do indywidualności Bytu, ten pytania takiego nie zada. Przypuścić, że ten wszechświat, którego rzeczywistość żadną miarą nie może się ostać bez współudziału naszej wiedzy, posiada jakąś celowość rozumną (boć tylko taka da się pomyśleć), lecz zupełnie względem tejże wiedzy postronną — jest tem samem co stwierdzić, że istnieje wprawdzie celowość, ale bezcelowa. Słowem, źródłem błędu jest to, 1) że się całą Rzeczywistość utożsamia z jednym z jej składników: Bytem, i wówczas już konsekwentnie, choć opacznie, umieszcza ją, a nie sam tylko Byt, **nazewnątrz** naszej Wiedzy; 2) że się przypuszcza, wskutek niedostatecznej analizy samegoż pojęcia celowości, iż ta może tkwić gdzieindziej niż w Wiedzy.

„Bóg nas stworzył na swe podobieństwo". — 1) Niesłusznie chełpimy się swym „rozumem", rzekomo wyróżniającym nas z pośród „bezrozumnych zwierząt", — Ale w takim razie niema nic dzikiego w przypuszczeniu jakiejś nieskończenie od nas mędrszej Istoty. 2) To chyba nie my, „malutkie bryłki związków węgla i wody", stworzyliśmy olbrzymi kosmos, no i siebie samych? — Niema więc nic dzikiego w przypuszczeniu transcendentnego względem nas Twórcy, 3) Można jednak twierdzić, że to sam Byt, istniejący niezależnie od nas, jest już tym sławetnym „absolutem" filozofów i przeto nie wymaga żadnej pierwotniejszej przyczyny sprawczej, żadnego twórcy? — Dobrze, ale w takim razie cóż jest wiekuistą przyczyną sprawczą faktu, że te dwa bezwzględnie heterogeniczne elementy w przykładnej i zadziwiająco karnej zgodzie zmierzają do syntezy, wspólnie wytwarzającej wszelką Rzeczywistość? czem się dzieje, że ten zgoła od Wiedzy niezawisły Byt poddaje się jednak rozumowej interpretacji — i to tak dalece, że możemy wyznaczać mu prawa coraz ogólniejsze (jak fizyczne), lub nawet absolutnie ogólne (jak matematyczne)?... Tak więc idea absolutnego twórczego rozumu, czyli Boga, jest ideą konieczną, gdy się przeprowadziło dokładną analizę pojęcia Rzeczywistości. 4) Można, oczywiście, twierdzić, że dla naszego rozumu Bóg jest absolutnie niepoznawalny — ale tylko w razie, jeśli się wpierw kategorycznie a całkiem arbitralnie zaneguje pierwszorzędną i podstawową cechę Wiedzy, t. j. jej powszechność. Wówczas trzeba stanąć na gruncie skrajnego solipsyzmu i uznać, że i wiedza bliźnich jest dla nas hermetycznie zamknięta więc jakby nieistniejąca. Ale solipsyzmu nikt na serjo nie wyznaje, tak dla bezgranicznego jego nieprawdopodobieństwa, jak i dla całkowitej bezpłodności praktycznej. Mój ból zęba w żaden sposób nie stanie się twoim bólem zęba, ale mój wniosek koniecznie stanie się twoim, o ile tylko jesteśmy obaj w zgodzie z prawami rozumu: oto bezpośredni dowód powszechności Wiedzy. To też można uznawać olbrzymią niewspółmierność w stopniu oraz w dzielności twórczej pomiędzy rozumem boskim a ludzkim, lecz nie absolutną różnicę jakościową. I tylko w tem znaczeniu wolno rzec bez śmieszności ani bluźnierstwa, iż Bóg nas stworzył na swe podobieństwo. Znaczy to, że Boga mogę poznawać tylko tak, jak, poznaję siebie, tj. na wzór wiedzy, a nie jak poznaję rzeczy tj. na wzór bytu. „Wiedza nie jest bytem" (Leibnitz), nie jest czemś, przed czem można stanąć i powiedzieć: oto ona, zbadajmy ją. Bóg, jak i nasza jaźń to samaż twórczość: dla Niego jak i dla niej—„być" a „tworzyć siebie" jest identycznie tem samem. I pod tym względem sceptyk ma słuszność: Bóg nie istnieje w tem znaczeniu co sosna czy skała; o Jego istnieniu nie można zostać przekonanym wbrew swej woli ani wogóle **biernie,** tj. nie utożsamiając się z Jego twórczością; nigdy nie weźmie nikt sceptyka za rękę, nie podprowadzi i nie powie: a widzisz? twierdziłeś, że Boga niema, tymczasem oto On! Jest to równie niemożliwe, jak studjować własną psychikę, dawszy się wprzód zachloroformować, albo jak uczyć się algebry utrzymując, że działania matematyczne wogóle nie istnieją. „Sceptycyzm programowy — to w gruncie gnuśność" (Lagneau).

„Jesteśmy żałośnie mali, żyjemy żałośnie krótko". Tak, w zestawieniu z trwaniem i rozmiarami galaktyk; ale czy również w zestawieniu z trwaniem błyskawicy i rozmiarami elektronów? Zresztą co to właściwie ma do rzeczy? Czy, miljardkrotnie powiększeni, łatwiej pojęlibyśmy tajemnicę rzeczywistości? Co ma kubatura ciała do potęgi rozumu? Fizyczny wszechświat jest potwornie wielki: ale czy wiedziałby o tem, gdyby nie my? Czy istota, wiedząca czem jest tysiąc, musi być 10 razy większa od istoty, wiedzącej tylko czem jest setka?

„Systematy pocieszające są jednak szkodliwe, gdyż przeszkadzają zapobiec niedoli ludzkości". Ale: 1) By orzekać o fałszywości danych systematów trzebaby najpierw znać prawdę; a czyż ją zna... agnostycyzm? 2) Czy się zmniejszy niedola **człowieka** (= istoty mimo wszystko **rozumnej),** gdy sobie urządzimy znośne warunki bytowania na ziemi, uznawszy zarazem zupełny bezsens i bezcelowość istnienia wogóle? 3) Jeślim tylko bryłka węgla co mię obchodzi dola czy niedola ludzkości, a już osobliwie przyszłych pokoleń? Conajwyżej będę się troszczył o najbezpośredniej własny dobrobyt; o ile tego dobrobytu starczy na moje kilkadziesiąt lat życia — c'est tout' ce qu'il me faut.

Człowiek - twórca.

Wszystkie powyższe zarzuty sprowadzają się właściwie do jednego, którym jest — prześlepienie **twórczej,** a nie poznawczej tylko, roli rozumu. Człowiek pierwotny widział mnóstwo rzeczy, zanim zobaczył samego siebie; dziecko o wiele wcześniej znajomi się ze swem ciałem niż ze swą myślą; znacznie łatwiej zauważyć to, **na co** się patrzy, niż to, **czem** się patrzy. Toteż idea człowieka - twórcy (w znaczeniu najdosłowniejszem, **nie zaś** mistyczno - przenośnem), jedna z najpierwszych pneumatologicznie, jest chronologicznie jedną z ostatnich. W całej majestatycznej pełni ukazała nam ją dopiero filozofja absolutna Wrońskiego. Sądzę, że ta epokowa „wielka przemiana", której mgliste przeczucie nurtuje dziś ludzkość całą, na tej właśnie ugruntuje się idei.

Dość obszernie — i, mojem zdaniem, b. dobrze — oświetlił tę sprawę p. Jerzy Braun w szeregu popularnych artykułów w „Zecie". Nie rozwijając jej zatem ogólnie, chciałbym tylko dorzucić jeszcze kilka uwag w zastosowaniu specjalnie do pedagogiki polskiej; pochop ku temu czerpię z ukazania się w trzeciem (!), już wydaniu doskonałej **„Szkoły twórczej"** dr. Henryka Rowida*).

„Pedagogika polska, — pisałem niedawno na innem miejscu, — z przedziwną intuicją, i to bynajmniej nie od dzisiaj, uchwyciła ten główny cel wychowania, jakim jest rozwój samorzutności w człowieku. Żyjemy w okresie przełomowym. „Nowa era", „nowa kultura" nie wyłoni się być może tak nagle, jak to sobie wyobrażają entuzjaści różnorakich rewolucyj, w każdym jednak razie czujemy wszyscy, że wiele dotychczasowych form i treści przeżyło się bezpowrotnie i że zastój równałby się śmierci. Oznaki wzmożonej **samorzutności** ludzkiej, wiary w pragmatyczną czynu naszego skuteczność, mnożą się na wszystkich polach: w filozofji, psychologji, socjologji, sztuce... Że zaś nowych form rzeczywistości nigdy nie zdobywa na trwałe **jedno** pokolenie, lecz dopiero solidarny mozół kilku, nic więc dziwnego, że wysiłek wszystkich reformatorów idzie w kierunku ukształtowania nowego człowieka. Stąd olbrzymia waga, jaką się pedagogice przypisuje w rewolucyjnej Rosji, w Niemczech, Polsce, Ameryce i innych krajach. Wyczuwa się powszechnie, że szkoła tradycyjna już nie wystarcza; że tkwi w niej jakiś zasadniczy błąd. W różnych krajach różnemi sposobami szuka się nowych dróg — i oto pokazuje się, że wszystkie te drogi zastanawiająco zbieżnie do jednego zmierzają celu, którym jest: **wydobycie z ucznia maximum jego twórczości własnej".** („Hoene-Wrońskiego filozofja pedagogji", Ruch Pedagogiczny, wrzesień i paźdz. 1932).

Z okazji zaś 1-go wyd. „Szkoły twórczej", pisałem w „Lwowskich Wiadomościach muz. i liter." (1928, nr. 4) m: in: „W uczniu — dotychczasowym przedmiocie zabiegów pedagogicznych — coraz świadomiej pragnie się widzieć **podmiot.** W swej pięknej i b. ciekawej pracy, wytrawny i zamiłowany pedagog dr. Rowid przedstawia nam całokształt tej niezmiernie doniosłej sprawy... Że szkoła twórcza odpowiada naszej psychice, o tem się dowiadujemy z rozdz. II, w którym polskiego czytelnika najbardziej zainteresują — i ucieszą — nazwiska Popławskiego, Piramowicza, Śniadeckiego, Estkowskiego, Wolskiego i in. Najobszerniej zaś zajmuje się autor głębokim a niedocenianym myślicielem, Trentowskim, którego filozofję zna widocznie najlepiej i któremu zresztą poświęcił dawniej oddzielne studjum.

W następnych dwu rozdziałach omawia autor współczesne poglądy na szkołę twórczą oraz jej podstawy socjologiczne. Dla mnie osobiście najciekawszy i najcenniejszy jest rozdział V, zatytułowany „Idea szkoły twórczej i jej związek z filozofją". W rozdziale tym na plan pierwszy wybija się bardzo dobry rozbiór poglądów pedagogicznych Wrońskiego i Trentowskiego. „W szczególności głeboko wnikają w życie jednostki i ludzkości całej — pisze dr. R. — w jej dążenia i zadania, poglądy Wrońskiego i Trentowskiego: w nich też tkwi najgłębszy sens szkoły twórczej i jej najistotniejsza treść, jej najbardziej charakterystyczna cecha. Z filozofji ich wypływa system wychowania w duchu szkoły twórczej, jako konieczność ewolucji ludzkości. Filozofja absolutna Wrońskiego określa cel absolutny ludzkości. Ponieważ zaś cele wychowania jednostki i cele ludzkości są te same, stąd wyznacza Wroński zarazem i cel objektywny wychowania".

„...Pracę dra Rowida gorąco polecam wszystkim zawodowym pedagogom i wszystkim kulturalnym rodzicom".

— O trzeciem, nieco rozszerzonem wydaniu mogę tylko powtórzyć powyższe słowa.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

***) Henryk Rowid: Szkoła Twórcza.** Podstawy teoretyczne i drogi urzeczywistnienia. 334 str. Kraków 1926 (Wyd. I); 1931 (III).

Wronskiana

Akademja Francuska na dorocznem posiedzeniu (22.XII. 1932 r.) dokonała rozdziału nagród literackich: w gronie nagrodzonych znalazła się p. Rosa Bailly, wypróbowana przyjaciółka Polski, założycielka stowarzyszenia Les Amis de la Pologne („które przygotowuje podróże uczniów i studentów do Polski, dba o poszanowanie praw Polski w świecie, stara się o wykład o Polsce w Sorbonie"), oraz czasopisma „Pologne".

To uczczenie zasług i całej niestrudzonej działalności p. Bailly odbiło się głośnem echem w całej prasie polskiej. Istotnie bowiem, społeczeństwo nasze zaciągnęło wobec niej dług wdzięczności. Dobrze byłoby, gdyby — w odpowiedzi na piękny gest Akademji Francuskiej — któryś z uniwersytetów polskich nadał p. Bailly doktorat honorowy.

W rodzie Bailly mamy jeszcze jednego szczerego przyjaciela Polski. Jest nim p Edmund Bailly, redaktor czasopisma „Libres études. Science — Religion — Art", który w r. 1909 — 1910 dokonał nowego wydania dzieła Hoene - Wrońskiego: „Developpement progressif et but final de l'humanité", (1-sze wydanie z r. 1861 zostało wyczerpane i stanowi rzadkość bibljograficzną). Dzieło to („Rozwój postępowy i cel ostateczny ludzkości") znane u nas tylko z urywków i cytatów, dotychczas nie ukazało się w polskim języku i czeka na wydawcę-mecenasa, bo przekład został już dokonany przez p. Zofję Kozłowską.

* *

Uczony peruwiański, profesor dr. Godofredo Garcia zamieścił w jednem z pism naukowych w Limie, studjum o Hoene-Wrońskim, którego doktryną (zwłaszcza pracami z zakresu filozofji matematyki) zajmuje się oddawna. Jak wynika z pracy profesora Garcia, Hoene - Wroński miał w Peru gorącego wielbiciela i propagatora w osobie nieżyjącego już dziś matematyka peruwiańskiego Villareala.

* *

Prof. Tadeusz Sinko omawia w „Ill. Kurjerze Codziennym" książkę Z. L. Zaleskiego pt. „Attitudes et Destinées" („Postawy i przeznaczenia pisarzy polskich"); o rozdziale tej książki, poświęconym Hoene - Wrońskiemu pisze następująco: „Cóż dopiero studjum o **Hoene-Wrońskim** — jako „rozdawcy absolutu", studjum, świadczące o głębokich zainteresowaniach filozoficznych autora. Takiego studjum **niema narazie w języku polskim".**

Nie wiemy, skąd pochodzi taki sąd sprawozdawcy: z rozmyślnego ignorowania, czy poprostu z ignorancji? Czy niewiadomo mu nic o obszernej monografji prof S. Dicksteina, wydanej już w r. 1896? Czy nie zna on książki Christjana Cherfilsa pt. „Zarys religji naukowej. Wstęp do Wrońskiego", wydanej przed kilku laty w przekładzie Cz. J. Kozłowskiego z przedmową prof. P. Chomicza pt. „Hoene-Wroński w Polsce i zagranicą", gdzie p. Sinko znajdzie całą literaturę o Wrońskim, tak polską jak i obcą.

W ciągu paru lat od wydania powyższej książki zostały również wydane — prócz szeregu artykułów i rozpraw w czasopismach — prace. A. Zieleńczyka pt. „Hoene-Wroński" i J. Brauna pt. „Hoene-Wroński a Polska współczesna". Co zaś do kompetentnej, rzeczowej oceny omawianego przez prof. Sinkę studjum L. Z. Zaleskiego, to podaliśmy ją w Nr. 3-cim „Zetu" z dn. 1 maja 1932 r.

Kronika lubelska

Związek Literatów w Lublinie wydał zeszyt wierszy Wita Kasperskiego pt. „Fale mojej rzeki". Jest to druga po „Dębowych Progach" (Dom Ks. Polskiej 1931) publikacja młodego poety.

*

W grudniu 1932 r. w lokalu Zw. Literatów w Lublinie (Królewska 6 m. 4) odbył się wieczór dyskusyjny na temat: „Kryzys kultury współczesnej". Dyskusję zagaił krótkim lecz ważkim referatem A. Madej.

Wieczór zgromadził elitę kulturalną Lublina.

Najbliższe wieczory dyskusyjne Związku: „Treść i forma" (referuje Czechowicz), „Idee Hoene - Wrońskiego" (referuje J. Braun).

*

„Barykady", którym konfiskata całego nakładu, zadała poważny cios ukażą się dopiero w końcu stycznia. Aby nie tracić kontaktu z czytelnikami, redaktor J. Łobodowski zamierza równocześnie wydawać 2-tygodniowy dodatek do „Barykad" w formie 4 stron gazetowego formatu, bez ilustracji.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 41.

*

W okresie świątecznym w salach Muzeum Lubelskiego wystawiono drzeworyty ludowe (z teki Łazarskiego) oraz piękną kolekcję modnych malowideł na szkle, stanowiącą własność art. malarza J. Świeżego.

*

Bibljofile lubelscy przygotowują druk dwugłosu poetyckiego F. Arnsztajnowej i J. Czechowicza pt. „Mury starego Lublina". Tom obejmie wiersze wyżej wymienionych autorów poświęcone urokowi odwiecznego miasta, które obok Krakowa, Gniezna i Kalisza należy do najstarszych w Polsce.

Wszechświat XX wieku

Zaczynamy od witraża.

Niedawne uroczystości Wyspiańskiego w Krakowie przypomniały szereg jego dzieł, między innemi witraż, przedstawiający system Kopernikański, a raczej wielką odmianę dokonaną przez wielkiego astronoma w świecie „orbium coelestium".

Witraż wprawiony jest w okno klatki schodowej Domu Lekarskiego [1]). Przedpołudniem, gdy słońce prześwietla kolorowe szyby, widać wspaniałą, centralną figurę Apollina-słońca — skrępowanego symbolicznie powrozami, unieruchomionego, zatrzymanego (przez teorję Kopernika). Wokół w kosmicznym pędzie rzucone planety pod mitologicznemi postaciami, pędzą po wyraźnie zakreślonych orbitach, do których jakby są przywiązane.

Witraż ów (a zwłaszcza pastelowy projekt) jest niesamowity. Mglisto siny ton przestrzeni, z którego wytryska jaskrawo żółta plama postaci Apollina, dziwaczne figury planet, — wytwarzają wrażenie potężne, Kosmiczne. Czuje się obecność jakiegoś żelaznego prawa, gnającego wszechświat w nieskończoność.

Gdyby dzisiaj artysta chciał stworzyć podobny (w pomyśle) obraz, a zarazem posłużyć się współczesną wiedzą o wszechświecie, znalazłby się w kłopocie. Najpierw wszechświat ten, według nauki Einsteina, nie dałby się tak plastycznie wyobrazić,— po drugie brakłoby literatury popularnej. Nie wiem czy sławny popularyzator wiedzy p. Winawer ma w swym dorobku pracę o współczesnej astronomji. Istnieje bo nazwisko słynnego uczonego angielskiego sir Jamesa Jeansa, które powtarza się w każdym artykule, w każdej encyklopedji, ale u nas długo jakoś nic nie było słychać o nim. Ostatnio dopiero ukazał się szereg tłomaczeń popularnych prac tego uczonego. Jedną z nich p. t. „Nowy Świat fizyki" [2]) chcę tu omówić. Zabieram się do tego oczywiście jako laik (dla takich chyba czytelników przeznaczono tę książkę). By nieuctwo me wyraźnie zaznaczyć, przyznam się, że w I klasie gimnazjalnej na chytre zapytanie profesora „z czego zrobiona jest oś ziemska" — długo się namyślałem, a następnie miałem wątpliwości, czy oś ta jest z żelaza, czy z powietrza. Ta więc wybitna niezdolność do abstrakcyjnego myślenia, wykazana wyżej — predestynuje mnie na czytelnika i sprawozdawcę książki Jeansa.

Ziarnko piasku — pomyłka?

Początek tej znakomicie napisanej pracy jest przygnębiający. My — ludzkość, osadzona na mikroskopijnym ziarnku piasku, rzuconem w przestrzenie nieskończone, badamy i chcemy zrozumieć ten wszechświat, w którym każda gwiazda jest większa od ziemi. Gwiazdy — te olbrzymy, mogące pomieścić setki tysięcy kul ziemskich — (a często miljony) — rozpalone żarem, poprostu płomienie wędrujące, na których życie jest nie do pomyślenia, pędzą przez upiornie mroźne przestrzenie (około 268°C poniżej zera), przeważnie samotnie. Tam sięga myśl ludzkości — której historja jest mgnieniem oka wobec okresów wszechświata— obojętnego, zbyt wielkiego, by ziemia cośkolwiek mogła w nim znaczyć.

Jest więc najpierw niepokojąca zagadka: skądże my na tem ziarnku piasku — tak górnie i śmiało?

Skąd wogóle wzięliśmy się? Na to, niestety nie odpowiada nam Jeans konkretnie w swej odpowiedzi: „Do takiego to wszechświata wpadliśmy jeśli nie wprost przez **pomyłkę,** to jednakże wskutek czegoś, co możnaby śmiało nazwać **przypadkiem"** (mojem zdaniem dosyć osobliwym). Jakkolwiek możliwość takiego przypadku na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa — istnieje, jednak nie tłomaczy ona zupełnie sensu. **Przypadek,** nie, to zamało.

Jeans zastanawia się dalej nad zagadką **życia** na ziemi. Czy to skutek umiarkowanej temperatury, czy może znów przypadek? Czy życie to tylko atomy, czy też atomy + życie? Z badań nad materją żywą wynika jedna jej specyficzna właściwość: przeważają w niej atomy, układające się w olbrzymie grona. Otóż zpośród atomów tylko węgiel posiada tę właściwość. Tak więc prawdopodobnie nie istnieje żadna „siła żywotna", a tylko — węgiel w połączeniu z innemi atomami stwarza życie. Atom węgla, to 6 elektronów (planet) wirujących dokoła jądra (słońca). Na tablicy pierwiastków chem. sąsiaduje z nim bor (7 elektronów) i azot (5 el.). W tej więc różnicy leżałaby **tajemnica życia.** Przy 6 elektronach życie jest, przy 7 lub 5—niema go. Podobne zjawiska znane są chemji. Magnetyzm występuje tylko w pierwiastkach o 26, 27 i 28 elektronach, a promieniotwórczość w atomach o 83—92 el. Punctum. To są ścisłe i żelazne prawa. A więc 6 elektronów — to życie. Czy to może przypadkowy zbieg szczególnego zespołu praw? Czy nie odkrywamy tu aby prawa, którem Stwórca powołał życie? Jeans odrzuca tę myśl, węsząc w takim poglądzie antropomorfizm. Nie przypuszcza, by stworzenie życia, jako zjawiska bardzo podrzędnego we wszechświecie, mogło być szczególnym zamiarem Stwórcy.

Jaka przyszłość nas czeka? Jaki jest cel naszego istnienia?

Zależymy od słońca i ilości jego promieni. Słońce traci ciepło, a ziemia oddala się od słońca. W perspektywie: okres lodowy (Słońce traci na wadze przez promieniowanie 250 milj. tonn na minutę).

Tak więc dotychczasowy rezultat: wpadliśmy przez pomyłkę w wszechświat, życie jest węglem, celem naszego istnienia — śmierć z mrozu. Jeans dodaje, że astronomja nie udziela nam ostatecznie odpowiedzi na te trzy kategoryczne pytania. Dlatego przechodzi do fizyki. Nie zrażajmy się jednak, tym przykrym wstępem.

Kwanty niszczą determinizm.

W świecie fizyki — po okresie antropomorficznym — zapanowało niepodzielnie prawo **przyczynowości.** Mechanika stała się rdzeniem nauki, a świat został ostatecznie wytłomaczony, jako maszyna (nie bez reszty, którą miała rozwiązać przyszłość). Z tej zasady naukowej rozwinął się w filozofji **determinizm** mechanistyczny XVII i XVIII wieku z odrzuceniem wolnej woli, a tem samem etyki. Wiek XIX stanowi przełom. Promieniowanie i ciążenie nie dają się wyjaśnić w sposób mechanistyczny. Niepodobna zbudować maszyny, mogącej oddać spadek jabłka z drzewa. Nastaje kres mechanistycznego okresu nauki (Planck, teorja kwantów).

Einstein, rozwijając teorję Plancka, dowiódł wbrew prawu przyczynowości, że po stanie A może nastąpić nietylko, jak dotąd, wyłącznie stan B — lecz także C, D i niezliczona ilość innych. Można wprawdzie określić prawdopodobieństwo następstwa — lecz już w każdym razie wyłączność B, czyli zasada przyczynowości zostały obalone.

Mowa jest dalej o promieniach kosmicznych, spadających na ziemię zzewnątrz w olbrzymich ilościach. Promienie, wobec których siła i przenikliwość promieni X — wydaje się zabawką. Wysunięto przypuszczenie, że promienie kosmiczne, padając na plazmę zarodkową, mogłyby wywołać pewne spazmatyczne zmiany biologiczne, których wymaga nowoczesna teorja rozwoju dla powstania człowieka. Mamy więc hipotezę, która **zewnętrznym** warunkom przypisuje powstanie człowieka. Coś jakby stworzenie? Tchnięcie duszy? Ale to biblja.

Wracajmy do nauki. Rekapitulując wywody o teorji kwantów i krytykę determinizmu, stwierdza Jeans, że jakkolwiek dalecy jesteśmy od pewności, wydaje się jednak możliwe istnienie w naturze czynnika, neutralizującego żelazną konieczność starego prawa przyczynowości (przeznaczenia): być może, że przyszłość nie jest tak niezmiennie wyznaczona przez przeszłość, jak się nam dotąd wydawało; może spoczywa częściowo w rękach „bogów". Przez obalenie prawa przyczynowości pozostawia dziś fizyka dużo miejsca dla życia i świadomości, wolnej woli i roli człowieka na ziemi i we wszechświecie. Dzisiejsza nauka nie może już dłużej zamykać drogi tej możliwości... zwalczać nasze wrodzone przeświadczenie o istnieniu wolnej woli. Jeśli my i natura nie reagujemy jednakowo na bodźce, to cóż określa bieg wypadków? Jeżeli jakakolwiek **przyczyna** istnieje — wracamy do determinizmu — jeśli jej niema — jak może się coś dziać wogóle?

Wszechświat składa się z fal.

Przechodzimy dalej do rozważania **czasu.** Istotą czasu nie jest posuwanie się naprzód (podstawa: przyczyna i skutek — jest to tylko analogja wynikająca z doświadczeń. Wedle teorji względności, czas jest **czwartym wymiarem** i zasada „post hoc, ergo propter" nie może mieć żadnego zastosowania. Zrozumienie istoty czasu uważa Jeans za konieczne dla zamknięcia sporu między determinizmem a woluntaryzmem.

Teorja kwantów stworzyła możliwość usunięcia determinizmu i przyczynowości z fizyki. Dawniej zjawisko światła tłomaczono teorją korpuskularną (grad cząstek biegnących po linji prostej). Nie dawała ta teorja wyjaśnienia na załamanie światła w wodzie (Newton, wyprzedzając teorję kwantów, wyjaśniał ten wyjątek odstąpieniem od zasady jednostajności zastępując tak determinizm przez kategorje prawdopodobieństwa). Okazało się, że promień światła bynajmniej nie biegnie po linji prostej, czego dowiodło doświadczenie z cieniem włosa (cień nie powstawał na ekranie) oraz światła rzucanego przez wąski otworek (w miejsce plamki świetlnej na ekranie powstawał skomplikowany pierścień dyfrakcyjny) — co dowiodło, że światło ulega „zagięciu" Dopiero objaśnienie, że światło składa się z fal (podobnych zupełnie do fal morskich) dostatecznie wyjaśniło te zjawiska. Wreszcie teorja kwantów usunęła ostatnie niedokładności. Brzmi ona: promień światła rozbity jest na kwanty światła (fotony, wg. doświadczeń niepodzielne), mimo to nie traci falowego charakteru.

Jeśli więc promieniowanie wywołuje rozkład atomów, to spotykają się dwie armje: atomów i fotonów, przyczem dokładnie 1 foton potrzebny jest dla zniszczenia 1 atomu. A więc ostatecznie światło (jak i każde promieniowanie) składa się z cząstek i fal. — dalej: jeżeli ma być utrzymana zasada **jednolitości natury** — przypuścić trzeba, że cząstki i fale są **jednem** i tem samem. Tak więc elektrony i protony (t. zw. materja) występują jako fale lub jako cząstki. Rezultat: wszechświat składa się wyłącznie z fal.

„Niech się stanie światłość"..:

Dawniej rządziła się nauka sędziwem prawem zachowania materji, masy i energji. Coś jakby nieśmiertelność czy niezniszczalność a zarazem niestwarzalność. Pierwszym wyłomem stało się rozbicie atomu. Okazało się, że atom zbudowany jest z dodatnio naładowanego jądra — protonu, oraz ujemnych elektronów, krążących regularnie wokół jądra. Materja jest poprostu zbiorowiskiem cząstek naładowanych elektrycznością. Tak więc nauka o budowie materji — stała się nauką o elektryczności. Ponieważ stwierdzono, że i promieniowanie jest natury elektr., całość fizyki zawarła się w nauce o elektronach. Wszelkie doświadczenia w ciągu XIX w. potwierdzały prawa zachowania energji. Wiek XX począł dopiero zasadę tę kruszyć. Wykazano, że masa ciała w ruchu ulega zmianie. (Ba, Einstein wykazał, że energja posiada masę).

W materji odbywa się nieustanny rozkład atomów (przez zderzanie się elektronów z protonami),—wyzwolenie połączonej energji w jednym błysku światła = fotonie. Zbadano, że promienie kosmiczne (których „ton" światła jest o 28½ oktawy wyższy od słonecznego) odpowiadają dokładnie promieniowaniu powstającemu przy unicestwieniu protonów i elektronów, — że więc rozpad atomów (materji) jest źródłem promieni kosmicznych — a w rezultacie we wszechświecie odbywa się na olbrzymią skalę **przemiana materji w promieniowanie.**

Ostatecznie więc prawo zachowania materji znika, a zachowanie masy i energji okazuje się identyczne, tak że w końcu wszystkie 3 prawa sprowadzają się do jednego: jedna zasadnicza wielkość, przyjmująca liczne formy (szczególnie materji i promieniowania) — zachowuje się. I ta zmiana **jakości,** wydaje się sprawą zasadniczą. Część uczonych twierdzi, że i promieniowanie przemienia się w materję (koncepcja cykliczna), co dopuszcza możliwość powstawania nowych światów (czy to aby nie „wieczność?"). Jeans wyklucza koncepcję cykliczną i reasumując, stwierdza, że materja i promieniowanie są to dwa rodzaje fal: jedne krążą po kole, drugie po prostej, — jedne wolniej, drugie szybciej. Inaczej, że materja jest jakby zamarłem promieniowaniem, poruszającem się wolniej. Istotą pozostają fale.

Tak tedy świat nie jest niczem innem, jak **światłem** w formie potencjalnej lub czynnej — a historja jego powstania może zawierać się w krótkim a znanym wersecie: **„i ciemności były nad głębokością... I rzekł Bóg: Niech się stanie światłość".**

Bańka mydlana.

Analizując dalej sprawę eteru, który (w spoczynku) pozwoliłby określić szybkość ruchu w nim — dochodzi Jeans do teorji Einsteina.

Teorję względności niedostępną dla przeciętnego laika, wyjaśniał — jak mówi anegdota — sam Einstein następującym przykładem: o ile moja teorja okaże się prawdziwą, francuzi powiedzą, że Einstein — to żyd, zaś Niemcy — że Niemiec; jeśli znów okazałaby się błędną, Francuzi powiedzą — Niemiec, — Niemcy: żyd. To jest względność. Ale żart na stronę.

Einstein obala teorję mechanistycznego eteru. A gdy niema nic stałego, wszystkie ruchy są względne; zagłębiając się w coraz to dalsze układy, spotykamy coraz to większe szybkości i niema mowy o jakimś punkcie stałym. „Leży to w naturze rzeczy, iż niepodobna określić **bezwzględny** ruch, w jakikolwiek sposób".

Wszystkie dotychczasowe doświadczenia obalały hipotezę eteru, a potwierdzały twierdzenie Einsteina. Z tym uczonym kończy się zdecydowanie zasada mechanistyczna reprezentowana przez typ uczonego-inżyniera, a naturę poczyna badać — matematyk.

Rozdzielaliśmy dotąd pojęcie przestrzeni i czasu, uważając pierwszą za coś, w czem się poruszamy, gdzie możemy zawrócić — drugi za regularnie upływający, i nie wracający. Tymczasem Einstein (wzgl. Minkowski) mówi: nic podobnego, czasu nie da się w żaden sposób oddzielić — od przestrzeni, tak dalece, że jeśli założymy trzy wymiary przestrzeni — czas będzie czwartym, tworząc w ten sposób „continuum", w którem przebiegają wszystkie zjawiska. Jeśli połowa uczonych opowiada się za dawnym eterem, a druga połowa za 4-o wymiarowem continuum, to obie myślą o jednem, a słowo jest tylko różne. Eter czy continuum, to taki sam schemat jak równik, biegun, moja oś ziemska i t. d. Jest to więc twór myślowy, nie substancjalny.

Einstein powiada dalej, że przestrzeń jest „zakrzywiona", jak powierzchnia ziemi Zakrzywione są promienie świetlne, drogi planet. Powodem tego „zakrzywienia" jest materja, od której też zależy wielkość świata. Continuum jest zakrzywione samo w sobie, tworząc zamkniętą powierzchnię — przez co przestrzeń jest skończona.

„Streszczając, uważamy bańkę mydlaną o nierównej i pooranej bruzdami powierzchni za najwierniejszy prawdopodobnie obraz nowego wszechświata. Wszechświat nie jest bynajmniej wnętrzem tej bańki, lecz jej powierzchnią". Wszechświat jako ta powierzchnia posiada trzy wymiary przestrzeni i jeden czasu; materjałem jest pusta przestrzeń spleciona z pustym czasem.

Rozum - stwórca.

Promienie poruszają się z szybkością 300.000 km./sek., materja znacznie wolniej, tak że w przybliżeniu możemy ją określić jako znajdującą się w stanie spoczynku w przestrzeni, a poruszającą się tylko w czasie. Czas spaja materję. Fale nie są rzeczywistością, umiejscowioną w czasie i przestrzeni; są one raczej uzmysłowieniem matematycznego wzoru ruchu falowego, zupełnie abstrakcyjnej natury. Pozorna niewyznaczalność natury, może być poprostu wynikiem naszych usiłowań zmierzających do wtłoczenia zdarzeń, przebiegających w wielu wymiarach — do mniejszej ilości wymiarów. Istota rzeczy tkwi w tem, że obrazy natury podsuwane nam przez naukę a zgodne z faktami doświadczalnemi są **obrazami matematycznemi.**

Z filozoficznego punktu widzenia najwyższą zdobyczą fizyki XX wieku nie jest teorja względności (z zespoleniem czasu i przestrzeni), ani teorja kwantów (zaprzeczenie przyczynowości), ani nawet rozłożenie atomu, lecz poprostu ogólne zrozumienie, że **nie zetknęliśmy się jeszcze z ostateczną rzeczywistością;** wiemy tylko, że **matematyka** jest najnaturalniejszym sposobem tłomaczenia zjawisk [1]). Tylko matematyka może wytłomaczyć podstawy nauki o naturze wszechświata. Horoskopy na przyszłość są bardzo ograniczone wobec olbrzymiej dysproporcji między ziemią i nami, jedynemi myślącemi istotami, a ogromem wszechświata.

Mówi tu Jeans o matematyce czystej, t. j. tej, która jest wytworem czystej myśli — **rozumu,** operującego tylko w zakresie własnej sfery. Jeans twierdzi, że natura „zna" — gruntownie te reguły czystej matematyki, które niezależnie od tego, matematycy sformułowali rozumowo. Jest to więc niezależny w sobie świat, stworzony z „czystego rozumu", nie czerpiący nic z doświadczenia. Żąda jednak Jeans, by ten obraz rozumowy — potwierdzony został doświadczeniem. „Wielki Budowniczy" Świata jest więc dla Jeansa **czystym matematykiem** — raczej może czystym rozumem, absolutem.

W dalszej konsekwencji swych filozoficznych rozważań, określa Jeans wszechświat, jako byt składający się z czystej myśli. Stworzenie jego (które niewątpliwie musiało istnieć) było też **aktem myślowym.**

Cała książka Jeansa jest obrazem zwalczania dawnego mechanistycznego poglądu (w fizyce) przez pogląd, że wszechświat objawia nam się w postaci wielkiej myśli, a nie wielkiej maszyny. Rozum uważany dawniej za intruza, obecnie poczyna grać rolę stwórcy i kierownika natury; nie nasz indywidualny umysł, **lecz ten, w którym atomy będące składnikami naszych umysłów, tkwią jako jego myśli.** Świat daje dowody istnienia potęgi wyznaczającej i kontrolującej, a mającej coś wspólnego z naszym umysłem.

Jakkolwiek zamyka Jeans książkę swą pesymistycznem twierdzeniem, że nauka dzisiejsza nie może zwiastować nam wielkiej nowiny, to jednak z prawdziwą radością zamyka się tę książkę wielkiego fizyka i astronoma, który tak stanowczą przewagę przypisuje stwórczemu rozumowi. Choć wypiera się Jeans stanowiska idealistycznego, przecie każdy idealista, zetknąwszy się z tą rekapitulacją wiedzy dzisiejszej, uczuje się mocno pokrzepiony.

Dlatego jaknajgoręcej zalecić należy przestudjowanie tej niezmiernie ciekawej i przystępnej książki. Dar syntetyzowania (przy bardzo ostrożnej analizie faktów) jest tą nadzwyczajną umiejętnością, — której uczeni dzisiejsi przeważnie są pozbawieni.

Wracamy do witraża.

No, a jakby wyglądała kompozycja plastyczna na wzór „Systemu kopernikańskiego" Wyspiańskiego — pod tytułem: **„System Einsteina"?** Może znajdzie się jakiś chętny plastyk? Tylko, że dzisiaj „literatura" — niemodna w malarstwie. Ale tak coś z matematyką — możeby było modnie i współcześnie. Możeby się dało coś „wykombinować"?

Tadeusz Kudliński.

[1]) Ołówkowy szkic do tej kompozycji jest własnością p. W. Żuławskiego, zaś karton — rektora J. Nowaka, który opowiadając historję „systemu kopernikańskiego", wspomniał, że Wyspiański przed zabraniem się do dzieła, studjował obszerne dzieła astronomiczne, a zwłaszcza analizę spektralną, by na naukowej podstawie oprzeć kompozycję barwną. Tak też podobno barwy użyte w postaciach planet odpowiadają ściśle wynikom analizy spektralnej. Na ten fakt chcę zwrócić uwagę, gdyż w licznych ostatnio referatach i pracach o Wyspiańskim nie poruszono zupełnie tego ścisłego realizmu wielkiego artysty. Jeśli przeglądniemy choćby djarjusz, czy ów cudowny „zielnik" — słowem, gdy wglądniemy w kulisy tej wspaniałej sztuki, — spotkamy się zawsze z niesłychanie zaciekłem studjum natury, z pedantyczną dokładnością przygotowania, o jakiej się dziś — mam wrażenie — niema pojęcia. Nie chcę przezto obniżać poziomu tej sztuki, opartej przecie na potężnej wizji, na pierwiastku irracjonalnym. Chcę zwrócić uwagę, że każda wielka sztuka jest poza intuicją i natchnieniem, olbrzymią pracą i także — rozumem.

Nawiasem wspomnę jeszcze à propos „Systemu" — że Wyspiańskiemu postać Apollina miała się wydawać podobna do ukrzyżowanego Chrystusa. Podobieństwo to — niezamierzone, stwierdził po wykończeniu kartonu.

[2]) Trzaska, Ewert, Michalski: Bibljoteka wiedzy T. III, przekład dra A. Dmochowskiego. Tytuł angielski: „The mysterious universe".

[1]) Galileusz już powiedział, że księga natury pisana jest językiem matematycznym.

JERZY BRAUN

Z PSALMÓW DERWIDA

Pathogenja

Gdym wszedł, nikt mnie nie poznał w mieście
Moje słowa -- głuchy pobrzęk miedzi.
Ze słów moich śmiali się, ach śmiali.
Więc zamilkłem. I szeptali: nareszcie...
Pode drzwiami szemrał tłum gawiedzi:
On ma... oczy... zrobione ze stali.

Płaczu nie znam, choć cierpię nad miarę,
tę tragiczność zbyt trudno zrozumieć.
Z najzawilszych wyrosłem korzeni
i dziedzictwo mam we krwi za stare,
bym odnalazł jaką drużbę w tym tłumie,
co się burzy i chmurzy i pieni.

Wszedłem przez drzwi i przez ściany.
Do kołysek wtargnąłem we śnie.
Drżeliście mną o zmierzchu jak liście.
Kiedy wołam, szydzicie: Nieznany.
Kiedy gram, wy nie chcecie mej pieśni
Serce moje zna ten ból. Więc gryźcie.

Ani ja tworzę świat, ani go niszczę.
W pędzie wiecznym wzlotami was trwożę.
Człowiek - góra, człowiek - burza - podnieta
ziarna sypię na ugor, na zgliszcze
świt zażegam w pomroczy, a zorzę
we krwi gaszę i krzyczę, że nie ta.

Naprzód, naprzód, to ja was poganiam.
Wielkość niosę, a wielkość was nęka.
Kto się boi wielkości, niech ginie.
Czasy wzdymam i grożę otchłanią,
a miecz ostry, dwusieczny mam w rękach,
końca niema mój wieczny gościniec.

Kto mnie przyjmie, ten mój, ten już ze mną,
już go nigdy mój cień nie opuści.
Ja go na śmierć wśród mieczów zatańczę
i znów wskrzeszę i rzucę go w ciemność,
gdzie wichr kłębi w niezmiernej czeluści
czarnoskrzydłe, piekielne szarańcze.

Ale z bólu królem go podźwignę,
mem największem Słowem go nasycę,
dam mu wszystkie globowe sny moje,
dam mu boską poetów malignę,
wojsk anielskich żelazne konnice
złotopszczołe z nad chmur mu wyroję.

Więc przychodzę cichy, niepoznany,
mowa moja już do krwi was smaga.
Jutro będę burzą, huraganem,
Bazaltowa zaciąży przewaga.

Wielką wizją tłum duchów zachwycę,
niech się pathos jak przypływ podniesie.
Wstaną ludy przed Bożem obliczem
prosto w niebo, jak twarde pnie w lesie.

Cień krzyża

(Rzecz o J. A. Gałuszce)

Jesteśmy świadkami dosyć dziwnego a zarazem charakterystycznego zjawiska na naszym zodjaku poetyckim. Jest w Krakowie poeta **Józef Aleksander Gałuszka** cieszący się w swym regjonie zasłużonem uznaniem. (W roku ubiegłym otrzymał nagrodę miejscowego Związku Zawodowego Literatów). Gdy jednak przekroczymy ten regjon — rzecz dziwna, opinja zmienia się na niekorzyść — a co dziwniejsza, ta ujemna krytyka nie poparta jest **niczem**. Ludzie np. z Warszawy, z którymi o tym poecie rozmawiałem, kręcili nosami — ale w końcu, w najlepszym razie znali jeden wiersz Gałuszki — czasem jeden tomik i to pierwszy. Przez takie stronienie od bogatego dorobku poetyckiego — popełnia się rażącą niesprawiedliwość, nie mówiąc już o tem, że budowanie osądu na — nieznajomości poety i jakiemś nieusprawiedliwionem uprzedzeniu (jakkolwiek dość częste dzisiaj) jest sprawą conajmniej wstydliwą.

Aby walczyć przeciw tej dziwnie fałszywej opinji, chciałbym zapoznać choć trochę czytelników z twórczością Gałuszki i korzystając z wydania ostatniego tomiku p. t. „**Cienie orłów**“ (Gebethner i Wolff 1932), spróbuję poważnie określić walory jego twórczości. Zanim przejdę do szczegółów, chciałbym wyszukać jakieś kryterjum ogólniejsze. Trudno jest jednak zdefinjować, czem jest poezja. Wolę uciec się do recepty znachorskiej: Poezja jest wtedy — gdy wzrusza: gdy ciarki idą po grzbiecie, pod powiekami czuje się ciepło, a w gardle coś zawadza. Poezja jest wtedy, gdy czujemy pęd rzeczy wielkich i ważnych spraw, ogarniętych mocno i rzuconych na nas przemożnym ciężarem. Taką poezją jest też twórczość Gałuszki.

Najistotniejszym jego stosunkiem do do rzeczywistości jest **chrześcijaństwo**. Przebija się to zupełnie widocznie w tematyce wierszy, a co ważniejsze, w metaforyce. Niema nieomal żadnego wiersza w którymby porównanie czy metafora nie sięgały jednem ramieniem w świat biblijny, liturgiczny, świat ewangelji, symboliki chrześcijańskiej lub tp. Uważam jako objekt doświadczalny metaforykę za ważniejszą od tematu, gdyż temat może być rozumowo wybrany i określony, a więc może być — pozą, świadomie przybraną. Metafora zaś powstaje raczej pozaświadomie i przez to prawdziwiej i wierniej świadczy o tem, co najważniejsze, najistotniejsze w najgłębszych pokładach duszy. Automatyzm w budowaniu metafor jest powodem, dla którego prawdziwego obrazu poety — należy szukać w obrazowaniu. Tak więc twierdzić można z całą pewnością, że psychika Gałuszki przerośnięta jest zagadnieniami religji.

Stosunek Gałuszki do tych spraw religijnych nie jest bynajmniej łatwizną. Nie wynika z ustalonej dewocyjnej pobożności i nawet jest czasem antyklerykalny. W całości jest nieustannem, często bolesnem przeżywaniem tajemnic wiary, transponowanem w każdej niemal myśli, w każdym odruchu psychicznym. Jeśli poeta szuka doskonałego wyrazu dla kształtu, barwy, nastroju — zawsze nasunie mu się w mechanice obrazowania ten świat spraw bożych, które pozwolą mu tym sposobem wypowiedzieć się najmocniej i najgłębiej.

Ten bardzo wyraźny rys twórczości, charakteryzuje wybitnie Gałuszkę, a zarazem zapewne jest powodem ogromnej dojrzałości i męskiej siły wyrazu.

Sprawy religijne dzielą się u poety uczuciowo na dwie zasady przeciwstawne, jakby dwa równoimienne ładunki elektryczne — odpychające sie. Jedna dziedzina to świat ewangielicznej dobroci i miłości, ciszy i ekstazy, upiększonej glorjami i skrzydłami archanielskiemi, gdzie **zorze poranne szepcą swe pacierze**, a wielkie słowo boże wpływa cicho do serca. Natura jest wtedy **zmartwychwstania cudem**, a serce raduje się legendą o Bożem Dzieciątku — do którego w noc wigilijną biegnie nawet tchórzliwy zając — by złożyć mu **chore z trwogi serce.**

Ten świat cichej radości, wyrażonej z ujmującą subtelnością liryczną, — zaciemnia się ponuro przypomnieniem męki Krzyża i objawieniem Boga — Pana nad Pany — stanowiącego swe prawa wśród grzmotów i błyskawic, jawiącego się w Krzaku gorejącym, pędzącego ród ludzki z rajskich ogrodów mieczem ognistym.

I tu zaczyna się spór głęboki i ważny o szczęście **człowieka**, w pocie czoła pożywającego chleb.

Ale jakże daleko do Twych gwiazd—Boże

Wysoko stoi tron boski, którego kolumny to chłodne i mroczne katedry gotyckie. **Nieznanym Bogiem** dla serca poety **jest** Ten, którego gniew szumi, którego poznać po ciosach **straszliwej pięści**: władca gromów i Bóg zniszczenia. **Wierzę** — woła poeta — **ale nie chcę widzieć Twej twarzy**, Ten lęk przed starotestamentowem obliczem Pana, ustępuje miejsca goryczy, graniczącej już z buntem: **że Cię serce przeklina — bo kochać nie może —** smutno mi Boże.

Jest więc w całości stosunek Gałuszki do chrześcijaństwa — lękiem przed Bogiem Starego Testamentu karzącym i mściwym, a zarazem wyolbrzymioną tęsknotą i szukaniem Boga, który jest miłością, do którego z pełną ufnością możnaby rzec: Ojcze nasz...

(Jakże podobnie modli się Konrad w Wyzwoleniu o Królestwo nie Krzyża, — lecz zbawienia).

Tę więc religijność, a raczej ogromnie żywy stosunek do religji, płynącej z gorącego serca — uważam za pierwszy indywidualny rys poezji Gałuszki. Skłania mnie to do gorzkiej uwagi, o fałszywych wielkościach epoki, o kuglarzach poetyckich, wyzbytych najzupełniej zdolności odczuwania najwyższych doznań: religijnych, — że czasy ich przeminą bez śladu. Czas byłby jednak krytyczniej popatrzec na współczesną poezję i przeprowadzić gruntowną rewizję fałszywych bóstw a oddać co się komu należy.

Religijny humanizm Gałuszki ma swe wierne odbicie w całym stosunku poety do świata, wyrażonym w wierszach refleksyjnych i lirycznych. Jeżeli w jednych widać napięcie do walki ze złem i apoteozę samej walki jako postawy życiowej (jak np. w przepysznym „Wyścigu samochodowym“) lub choćby pesymistyczną krytykę współczesności (**od duszy własnej, od serca, od szeptu sumienia uciekacie w szalonych ekspresach i autach...**) — to w drugich przebija się znużenie, strudzenie tą walką, smutne — aż gorzkie—spojrzenie we własne twarde dzieciństwo (**Wspomnienie, Matka Boska Zielna**), w chmurną młodość minioną (Cienie. W **godzinę odejścia**).

Wspominając z dzieciństwa pewien odpust, na którym obdarzono go małą szklaną pasyjką—spowiada się ciężko: i **krzyż się ów na życiu mem położył cieniem**.. a dalej dziś **znalazłem zardzewiałej podkowy ułomek**... Jest w tych wierszach dojrzały, męski smutek, pozbawiony jakiejś pretensjonalności, przejmujący spokojem rozygnacji. Niechże te prawdziwie piękne wiersze mówią za siebie:

...„Z czoła i z twarzy niecierpliwą dłonią
dość-żem dziś nitek pajęczyny zebrał
a przecież świecą we włosach nad skronią
bielą i srebrem
Cichutko jesień złota
Srebrny moteczek mota
(w kabale wyszedł as trefl)
na szybie się trzepota
żałobny czarny motyl
a z ust jarzębin bucha krew“...
(W godzinę odejścia:)
...„Przyjdziecie pewnie do mnie w godzinę [odejścia,
jak starzy przyjaciele pożegnać się ze mną.
Nie wiem, czy was obejmie pokoiku sze- [ścian,
Ale ja was obejmę źrenicą płomienną“.

Wszystkie sprawy wzywa poeta, do których sercem przylgnął. Stara się pokonać wzruszenie i strącić łzę natrętną z powieki — cygańskim humorem:

...„Staniecie wśród przyjaciół: moich sprzę- [tów biednych
przywita was radosny hymn mego „Primu- [sa“
starego druha, który mnie z pustką poje- [dnał
sercem, płonącem ogniem, jak serce Chry- [stusa“.

Te zwrotki wystarczą za długą analizę stylu i kompozycji zwrotki. Jeśli chodzi o kompozycję całych utworów, to Gałuszka jest chyba przykładem klasycznej budowy wiersza (np. Smutno mi Boże).

W utworach opisowych staje się poeta nieporównanym piewcą polskiego pejzażu, który z tęskną miłością odczuwa i zna jego indywidualny typ. Głębokie odczucie przyrody łączy się z przeżywaniem stanów emocjonalnych, niezwykle mocno stopionych z obrazem samym. Są te utwory przedziwnie subtelne, pełne umiaru,wynikającego z jasnej świadomości twórczej i jasnej konstrukcji. Dominuje w tych utworach charakterystyczny motyw ciszy, zmierzchu, mgły, wschodów i zachodów słońca, a wreszcie najbardziej odpowiadającej poecie nastrojem — jesieni. Jesień w różnych permutacjach odczuwania, przybiera np. w „Polskim listopadzie“ wyraz patrjotyczny, jako wizja listopadowych nocy powstania 31 r. — organicznie spojona z obrazami przyrody jesiennej.

Obrazy wsi cechuje niezwykle bystra obserwacja najdrobniejszych szczegółów i silny realizm, przez co oczywiście są one dalekie od utartego poetyckiego szablonu. Wiersz np. jak **„Twarda orka“** (...ciągną zarżnięte w ziemię żelazne, lśniące pługi...) uderza nadzwyczaj plastycznym i mocnym obrazem ciężkiej pracy na roli. Ciężki znój człowieka i koni, opór ugoru i zaciętą wolę do przezwyciężenia natury, wyrażono tym wierszem z dostojeństwem i pogodą, z ładem, przypominającym słowiańskie umiłowanie ziemi żywicielki.

Kompozycję Gałuszki cechuje jednolitość i dążenie, by obraz wywołany pierwszem porównaniem czy metaforą w wierszu rozwijać i rozwój tematu przez ten — jakby kolega Peiper powiedział—„rozkwitający układ“ przeprowadzić. Sprawia to wrażenie nad wyraz harmonijne.

Zapewne Gałuszka uważany jest wśród młodszych poetów za tradycjonalistę. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Gałuszka umie zatrzymać z tradycji to — co wartościowe, a pozatem idzie śmiało i sięga po nowe zdobycze. I w tych swoich nowatorstwach nie idzie właśnie szlakiem utartym przez poetów obcych, niczego nie naśladuje. Wystarczy wspomnieć onomatopeiczne próby i świetne wyniki osiągnięte w wierszach takich, jak „Słupy telegraficzne“ lub „Żółci ułani“ — któremi niezbyt dawno entuzjazmował się Kraków. Również „**Pogrzeb marszałka Focha**“, zawarty w ostatnim tomiku, oparty jest na ciekawej onomatopeji. W dobrej recytacji walory te są oczywiste. Wystarczy wymienić „Jarzębiny“ — jako eksperyment zupełnie oryginalny w dziedzinie metaforyki. Z tradycji natomiast zatrzymuje Gałuszka muzyczność wiersza, jego doskonałą rytmikę i staranność o rym wzgl. assonans. Z ciekawych prób wymienić również należy wiersz „**Krasnobród w mgłach**“, oparty na leitmotywie liter l i t nagromadzonych i powtarzanych w pewnym układzie, nadającym wierszowi pewną monotonną melodję jesiennego pejzażu w mgle.

Gałuszka nie naśladuje. Jest sam dosyć twórczy. Tak np. metaforyka jego wykazuje zupełną oryginalność i indywidualną odrębność. Przytaczam tu kilka przykładów: — (kolumny) stoją jak wbite w ziemię teutońskie, nagie miecze — smutek siwych kolein, ciętych w piasku złotym — archanioł bożym wichrem grał na organach — szyn klingi stalowe, wcięte srebrem w przestrzeń — liści złoty lament — iglice wież kościelnych, jak w kadzidłach gotyckie relikwiarze.

Przytoczone przykłady, jakkolwiek wyrwane, obrazują niezmiernie ciekawe skojarzenia, doskonałe malarskie wyczucie kształtu i barwy i ruchu.

Starałem się tak pokrótce naszkicować pewne indywidualne cechy poezji Gałuszki (mam wrażenie, że dotąd nikt tego nie uczynił, poprostu nikomu się nie chciało). I apeluję do czytelników poezji — szukających rzetelnych wartości: czytajcie wiersze Gałuszki: potem je sądźcie. Nie wierzcie płytkim i złośliwym opinjom, czasem i bredniom. Przeczytajcie. Potem możecie odrzucić — jeśli się Wam nie spodoba Ale na pewno tego nie uczynicie. Pociągnie was dostały, męski dar słowa, i dojrzałość artystyczna, łącząca to, co wartościowe w tradycji — z własnem zupełnie oryginalnem nowatorstwem: zadziwi was muzyczność i rzetelne piękno prawdziwej poezji, przemówi do was rozumny, dobry człowiek, prawdziwy poeta. Łatwiej będziecie mogli wtedy odrzucić śmiecie polatujące ze smrodliwym kurzem na naszym parnasie. A z tą poezją — sądzę, że się zaprzyjaźnicie.

Tadeusz Kudliński.

Kronika

„**Faraon**“ **Prusa po włosku.** Jedna z dużych firm wydawniczych w Medjolanie zapowiedziała wydanie „Faraona“ po włosku.

Japoński noworoczny turniej poetycki. Rok rocznie w dzień Nowego Roku rozgrywa się w Tokio na dworze mikada wielki turniej poetycki „na zadany temat“. Tego roku tematem było „Morze nad ranem“, W turnieju tym wolno brać udział również cudzoziemcom. Udział w nim wzięło tego roku około 40 tysięcy osób.

Jubileusz „Czartaka“. Grupa beskidzkich poetów (Zegadłowicz, Kozikowski, Szantroch) będzie obchodzić w bieżącym roku 10-lecie powstania „Czartaka“. W związku z tem ma się odbyć w Wadowicach mały literacki „zjazd regjonalny“.

Tydzień muzyki F. Liszta odbędzie się w Budapeszcie. Uroczystości lisztowskie będą połączone z wielkim konkursem pianistów, w którym będą mogli brać udział muzycy wszystkich krajów, którzy nie ukończyli jeszcze lat 30. Dla laureatów przeznaczono szereg nagród pieniężnych, z których najwyższa wynosi 4000 pengö.

Berliński teatr kameralny przygotowuje wystawienie nowej sztuki O'Neill'a pt „Trauer steht Elektra gut“. Jako Elektra wystąpi Helena Thimig.

Pomnik Ch. Baudelaire'a ma stanąć na jednym z wielkich placów Paryża. Jest to inicjatywa komitetu artystów pod przewodnictwem Pawła Valery'ego.

Monografję o Guillaumie Appollinaire wydał (nakładem Nouvelle Revue Critique w Paryżu) Hubert Fabureau.

„Histoire diplomatique de l'Europe 1871 — 1914“. Pod tym tytułem ukazało się w Paryżu (Presse universitaire) dwutomowe dzieło, obrazujące życie dyplomatyczne Europy w ostatniem półwieczu przedwojennem.

„Cztery miesiące u komitadżich—rzecz o walkach macedońskich powstańców — wydał nakładem P. Bossueta w Paryżu A. Den Doolaard.

Koło Polonistów Uniw. St. Batorego wydaje antologję współczesnej poezji polskiej, przyczem wyboru dokonano jedynie z pośród poetów o nastawieniu społecznem.

Antologja obejmie wiersze J. Czechowicza, M. Czuchnowskiego, St. R. Dobrowolskiego, St. Flukowskiego, J. Kurka, J. Łobodowskiego, A. Maliszewskiego, Cz. Miłosza, M. Piechala, J. Przybosia: W. Sebyły, G. Timofiejewa i J. Zagórskiego.

Stanisław Czernik opublikował nowy, drugi zkolei, tom wierszy pt. „O polskim płocie“. Wiersze te przynoszą tematycznie momenty te same, co utwory Szczawieja, Czereśniewskiego, Ciesielczuka i innych poetów wsi. Ale Czernik chwycił ton własny, bardzo poważny, daleki od roztkliwiań się, „razowych słów“ i „kwaśnego mleka pogody“.

Książką tą zajmiemy się w specjalnej recenzji.

Odpowiedzi redakcji

Inż. L. R. Tarnopol. Bardzo serdecznie dziękuję za list i życzenia. Teraz dopiero wróciłem z urlopu i projekt Pański przedyskutuję w redakcji. Wynik prześlę listownie. Serdeczne pozdrowienia.

W. M. Pelplin. Owszem naturalnie — pamiętam Pana. — O ile rękopisy Pan ma — proszę nadesłać.

Autorowi „Wierszy“ Kraków: Nie skorzystamy.

J. A. F. Kraków: Nie skorzystamy. Jeszcze nie na poziomie. Proszę się nie zrażać — w przyszłości nadesłać coś znowu. Może będą lepsze...

Autorce „Nocy zwierzenia“. Nie skorzystamy, bo forma zbyt słaba. Brak konstrukcji, koniecznego powiązania poszczególnych elementów. Wstęp nie jest związany niczem z zasadniczą treścią noweli — błaha i nie „wyciągniętą“ należycie.

O grafomanach i dyletantach

Pojęciom tym nadajemy zazwyczaj znaczenie ujemne. Grafoman wywołuje w nas uczucie politowania, połączonego z komizmem. O dyletancie mówimy z przekąsem i wyższością, określając go jako szkodliwe zjawisko społeczne. Naogół, przechodzimy nad obydwu temi zjawiskami do porządku dziennego, nie przyznając im rangi problemu.

Niesłusznie. Gdybyśmy bowiem poświęcili im więcej uwagi, doszlibyśmy może do przekonania, że są to funkcje procesów socjologicznych bardzo skomplikowanych — i choć same w sobie są balastem życia literackiego i intellektualnego danego społeczeństwa, stanowią jednakowoż symptom i potencjał wartości dodatnich.

Grafoman i dyletant jako indywidua, są nieznośni, doprowadzają nas do białej pasji; wyrzuca się ich poza nawias sztuki i nauki. Ale grafomanja i dyletantyzm, rozpatrywane z punktu widzenia powszechności, są świadectwem prężności intelektualnej i estetycznej danego środowiska społecznego ku wyższym formom kultury zbiorowej. Tylko narody dojrzałe cywilizacyjnie — powiedziałbym nawet: stojące u progu przerafinowania — produkowały en masse grafomanów i dyletantów, ludzi chcących tworzyć i ludzi chcących wiedzieć wszystko. Jest to swego rodzaju luksus społeczny, na który narody pączkujące i dopiero zgrubsza ociosane, nie mogą sobie pozwolić.

Smak tworzenia i smak nienasyconego poznawania odczuwa człowiek i naród, który już zdołał oderwać się od kręgu zainteresowań bezpośrednich, związanych z potrzebami materjalnemi jego bytu. Dochodzi tu do głosu wewnętrzny, transcendentny do spraw fizycznych głód naszego ja, przeczuwający świat doznań i wartości zupełnie nowych, mających swą celowość w samych sobie, a więc całkowicie uniezależnionych od pobudek i korzyści zewnętrznych. Otóż nie ulega wątpliwości, że grafomani i dyletanci to istoty, stojące u progu tej nowej rzeczywistości psychicznej o tyle nieszczęśliwe, że potrzeba tworzenia i poznawania przerasta olbrzymio zasób środków i sił, jakiemi rozporządzają, dla jej zaspokojenia. Sfera dążeń nie jest u nich skoordynowana ze sferą osiągań. Brak wirtualności technicznej, zdolnej skonkretyzować ich mgławicowe popędy, jest — być może — przyczyną ich gorączkowego pościgu za samym sobą, nadrabiającego jakość — ilością i czyniącego z nich istoty chorobliwie płodne (nieproporcjonalnie do wartości ich płodów).

Jest rzeczą ciekawą skonstatowanie po raz już nie wiem który, że punkt wyjścia i punkt dojścia mają znamiona pewnego podobieństwa, tak jakby zamykały się w koło. Płodność i wszechstronność grafomanów i dyletantów znajduje swój jedyny odpowiednik w płodności i wszechstronności genjuszów. Różnica jest — z punktu widzenia systematyki naukowej — ta, że u pierwszych jest to embrjonalny stan rozbudzenia owej transcendentnej potrzeby ludzkiego Ja, podczas gdy u drugich jest to stan doskonałości końcowej, w którym, po świetnem opanowaniu wszystkich stopni pośrednich, następuje swobodny już, wybuch tej elementarnej potencjalności twórczej, uzbrojony w maksymalną sprawność techniczną.

Dobry rzemieślnik pióra nie tworzy ani spontanicznie, ani ze względu na samą rozkosz tworzenia. Wystarcza mu obrobienie niewielu, lecz rzetelnie wycyzelowanych utworów: zadowolenie daje mu przedmiot stworzony, gotowe dzieło. Podobnie dobry pracownik naukowy nie dąży do ogarnięcia wszelkich możliwych dziedzin wiedzy i powiązania ich w syntezie: wystarcza mu specjalizacja w jednej gałęzi, a radość sprawia mu widomy szczegół, jakiś konkretny wynalazek, czy ulepszenie techniczne.

Natomiast genjusz w sztuce tworzy żywiołowo i zawsze en masse. Raduje go nie dzieło, lecz sam proces twórczy. Genjalny myśliciel nienawidzi specjalizacji, studjuje wszystko naraz, szuka syntezy i jedności całego gmachu wiedzy; ideałem jego jest pełny, zamknięty systemat, a zadowolenie daje mu sam akt poznawania.

Niezwykle ciekawy jest fakt, że u biednych, pogardzonych grafomanów i dyletantów dostrzegamy podobne skłonności i cechy. Grafoman tworzy, aby tworzyć; widocznie upaja go sam proces pisania. Dyletant usiłuje ogarnąć wszystko, dowiedzieć się wszystkiego, poznawać dla samej rozkoszy poznawania; dlatego przerzuca się gorączkowo z socjologji na przyrodoznawstwo, z astronomji na psychologję, niczego nie przemyślawszy gruntownie.

Dowodzi to słuszności tezy, postawionej na wstępie, że grafomanja i dyletantyzm w skali masowej świadczą o rozbudzeniu się w społeczeństwie smaku dla wartości transcendentnych, bezinteresownie pojmowanych, nie może więc być zjawiskiem społecznie ujemnem.

Gorzej jest, gdy grafomani i dyletanci chcą dzielić się z innymi owocem swych prób i wysiłków, drukując i nadsyłając swoje utwory. Wtedy stają się trudni do zniesienia i tracą prawo do naszego szacunku. Ale jak im to wytłumaczyć?

br. bor.

Książki i czasospima

Artur Marja Swinarski: Dęby w Rogalinie. Poznań 1933. Nakł. J. Dippla. Str. 67.

Marjan Niżyński: Dalmino. Poemat dramatyczny. Część I. Bibljoteka „Gazety Literackiej“ tom II. Kraków 1933. Str. 40.

Jalu Kurek: II śpiewy o rzeczypospolitej. Poezje. Kraków 1932. Str. 45.

Jalu Kurek: Mount Everest 1924. Cykl pięciu na Olimpjadę. Warszawa 1932. Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 95.

Michał Choromański: Zazdrość i medycyna. Powieść: Warszawa 1933. Nakład Gebethnera i Wolffa. 324.

Stanisław Czernik: O polskim płocie. Poezje. Warszawa 1933. Skład główny Dom Książki Polskiej. Str. 23.

Bronisław Poletur: Polska od serca do serca. Poezje. Słowem wstępnem poprzedził Włodzimierz Słobodnik. Miejsce Piastowe. 1932. Wyd. Tow. św. Michała Archanioła. Str. 85.

Leopold Lewin: Kora pisana. Warszawa 1933. F. Hoesick. Str. 41.

Wit. Kasperski: Fale mojej rzeki. Nakładem Związku Literatów w Lublinie 1933. Str. 35.

Ignacy Fik: Przemiany. Warszawa 1932.

Antoni Madej: Pieśń o Bałtyku. Poezje. Warszawa 1932. Bibljoteka Kadry. Str. 45:

Antoni Madej: Widnokrąg. Poezje. Nakładem Związku Literatów w Lublinie 1933. Str. 51.

Andrzej — Józef — Mieczysław Karasińscy: Manifest Romantyzmu! Warszawa 1931. Nakładem autorów. Str. 63:

Marjan Kubiński: Chleb. Warszawa 1932. Nakładem „Maku“. Str. 54.

Piony (grudzień 1932): Czesław Miłosz. Dane do poematów; Stefan Jędrychowski: Dziewięć błędów uwodziciela; Jerzy Zagórski: poematu Kair pieśń 1: wiersze Teodora Bujnickiego, Jalu Kurka i Czesława Miłosza.

Ruch pedagogiczny (grudzień 1932): Henryk Rowid: Rozbrojenie duchowe a nowa szkoła; Janina Melchert: Działalność pedagogiczna Adama Szymańskiego; Dr. L. Langholz: Charakterologja w życiu szkolnem (Dokończenie): recenzje, kronika.

Tadeusz Kudliński: Wygnańcy Ewy. Powieść. Bibljoteka Gazety Literackiej, Tom I. Kraków 1932. Nakładem Gazety Literackiej, Kraków, Słoneczna 15. Str. 439. Cena zł. 5.

Przegląd Współczesny (grudzień 1932). Władysław Natanson: Szkoły akademickie; Stan. Estreicher: Lata szkolne Stanisława Wyspiańskiego: Stefan Kołaczkowski: Wyspiański — karta z życia narodowego; Eug. Kucharski: Wernyhora i złoty róg — Interpretacja symbolów „Wesela“; R. Dyboski: Wyspiański o Hamlecie; Fel. Turynowa: „Saga rodu Forsyte'ów“ Galsworthy'ego; Al. Brückner: Samorząd uniwersytetów niemieckich: Jan St. Bystroń: M'Ząb (II): A. B. Dobrowolski: Owidjusz Decroly (1871 — 1932); Konst. Srokowski: Z literatury ekonomicznej: A. Gruszecka: Z literatury dla dzieci; F. Bielak: Szósty tom „Dzieł“ Wyspiańskiego; Adam Bochenek: „Rocznik Krakowski“.

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Dobra 59, I p.
Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Dobra 59, I p.
Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210.
Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł
Druk „Nowogrodzka“, Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.